43-2

List z Zakopanego

ZAKOPANE NIECZYNNE Z POWODU REMONTU

czytaj na str. 6

Widok z Gubałówki na ośnieżone Tatry

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Nr 40 (188)
Łódź, 8. X. 1961 r.
Cena 1 zł

EWA OSTROWSKA

Czy chcesz już być dorosłą?

Zwyczaj opiniowania na podstawie kilku ujemnych faktów i przenoszenie tej negacji na ogół młodzieży nie jest użyteczną metodą krytyki. Jeżeli amoralność, cynizm, brak ideałów, społeczny egoizm są cechami dominującymi u młodzieży na obozie letnim w Sławie Śląskiej, a taki wniosek nasuwa się czytelnikowi po przeczytaniu artykułu L. Włodkowskiego („Odgłosy" nr 38 „Chłopcy i dziewczęta czyli granice swobody"), bo jedną parę złapano in flagranti, chłopcy palą papierosy, ktoś zniszczył złośliwie namiot — to konsekwencją logiczną uproszczonego rozumowania staje się przeniesienie tych negatów na ogół młodzieży szkolnej. Nie zamierzam bynajmniej usprawiedliwiać pary złapanej przy uprawianiu grzesznej miłości, chodzi mi tylko o rzucenie światła na szkodliwość opiniowania przy pomocy jednostkowych wypadków. Proszę sobie wyobrazić, że stawiamy diagnozę na zapalenie płuc tylko na podstawie wysokiej temperatury. Gdyby lekarze w ten sposób leczyli swoich pacjentów...

Młodzi obozowicze ze Sławy skonstruowali według własnych kryteriów typ człowieka współczesnego. Kryteria okazały się rzeczowe, przemyślane i dojrzałe Typ człowieka współczesnego, czyli inaczej — jakimi byśmy chcieli być? Pragnienia ze wszech miar pozytywne, tylko kilku wykazało „pustkę intelektualną". Wobec tego, lekarstwo przepisane przez autora w końcowym fragmencie artykułu przypomina przysłowiową aspirynę w wojsku, która leczy wszystko: grypę i czerwonkę. Autor powiada mianowicie: na miejsce odrzuconych w wyniku konfliktu pokoleń trzeba stworzyć nowe wartości. To brzmi jak metafizyczny ogólnik, filantropijne hasełko z rodzaju — pójdź dziecię, ja cię uczyć każę, a jak się nauczysz — będziesz mądry.

Moje uwagi opieram na małej liczbie młodych ludzi, to 24 uczennice. Tyle właśnie liczyła klasa XIa w momencie przeprowadzenia ankietki — Miejsce — Łódź, ulica Łęczycka 23, XXV Liceum Ogólnokształcące.

Zwykła grupa szkolna, dziewczęta rozpoczynające swój czwarty rok nauki, grupa, która w ciągu ubiegłych

Dalszy ciąg na str. 8

SEDNO RZECZY

MARIAN PIECHAL

TAJEMNICA i PRZESĄD

Wiadomo, że przesąd żeruje na tajemnicy. Nie wszystko na świecie i o świecie ludziom jest wiadome. Wiele jeszcze niezbadanych tajemnic, nieodkrytych zjawisk i nierozszyfrowanych zagadek nas otacza. Na przykład sposób formowania się piorunów w chmurach lub zjawisko zorzy polarnej — albo o naturze światła coż my właściwie wiemy, czy ma charakter korpuskularny, czy falowy? To są dotychczas problemy otwarte w badaniach naukowych. Na dobrą sprawę można powiedzieć, że żadne zjawisko w naturze nie jest nigdy ostatecznie określone, a zagadnienie jego wyczerpane do dna, gdyż jest w ciągłym rozwoju i podlega ustawicznej zmianie.

Rozwój jest jedną z podstawowych zasad istnienia. Dlatego tajemnice życia i świata zjawisk, jakkolwiek potężnie rozwinie się w przyszłości wiedza o nich, nigdy nie zostaną ostatecznie i bez reszty rozwiązane. Mózg ludzki, jak wiadomo, rozwija się coraz wspanialej, a zakres wiedzy ludzkiej, ta suma pracy poszczególnych mózgów, przekracza granice naszych zwykłych pojęć. Nie ma dziś już człowieka zdolnego ogarnąć całą współczesną wiedzę o świecie. Wiedza ludzka o świecie rozwija się szybko, ale świat jeszcze szybciej. Część, jakim jest mózg ludzki w stosunku do świata, nigdy nie dogoni całości. Zjawisko istnienia zawiera wiele jeszcze niewytłumaczonych

Dalszy ciąg na str. 8

MIROSŁAW AZEMBSKI

KOLOR I ZAPACH AKRY

wolna GHANA AKKRA

Korespondencja własna z Ghany

Scenka uliczna w stolicy republiki Ghany — Akrze

Przygoda z „lele". Jak było i co jest z barierami rasowymi? — Europejskość z pozoru. — Cicha zemsta Ghanejczyków. — Akra tubylcza. — Handlowy prym kobiet. — U sekretarek, drapiących się po czarnych stopach. — Mój przyjaciel „Ga" wyjaśnia... —

Moje lądowanie na ziemi ghanejskiej odbyło się sposobem iście kolonialnym. Wywrotna łódeczka „lele" (będzie jeszcze o niej mowa) nie dotarła do nabrzeża portu Akra, albowiem nabrzeży tam nie ma: osiadła na mieliźnie w odległości kilkudziesięciu metrów od brzegu. I wtedy — zanim zdążyłem się rozpatrzyć w sytuacji — porwały mnie w górę czarne ręce wioślarzy mojej „lele", umieści-

Dalszy ciąg na str. 5

JACEK LEBEN

Na pewnym przyjęciu dyplomatycznym w Paryżu jeden z francuskich polityków wyraził w sposób żartobliwy następujący pogląd: „Ze zjednoczeniem Niemiec jest jak z modlitwą, wszyscy się modlą żeby do nieba, ale byle nie za prędko". Na innym przyjęciu minister informacji w rządzie De Gaulle'a po wypiciu znacznej ilości szampana wyraził tę samą myśl w nieco inny sposób „Francuzi — powiedział — tak kochają Niemców, że wolą nawet, by mieli oni dwa państwa zamiast jednego".

Premierowi Indii Nehru nie przystoi żartować, oświadczył więc przed kilkoma miesiącami z całą powagą, że faktycznie żadnemu rządowi na świecie nie zależy w tej chwili na szybkim zjednoczeniu Niemiec. Ale jakich Niemiec?

Rządy mocarstw zachodnich łącznie z rządem Niemieckiej Republiki Federalnej od dawna już nie mają żadnych iluzji co do możliwości szybkiego zjednoczenia Niemiec. To one przecież zdecydowały się na politykę, która tę możliwość przekreśliła. W 1954 roku Związek Radziecki zgłosił ostatnie propozycje w sprawie zjednoczenia Niemiec w warunkach neutralności. Rok później został podpisany traktat pokojowy z Austrią, który był również zaproszeniem do podobnego rozwiązania problemu niemieckiego. Zachód odpowiedział na to włączeniem Niemieckiej Republiki Federalnej do NATO i jej szybkim uzbrojeniem. Mając do wyboru zjednoczone neutralne i pokojowe Niemcy lub Niemcy zachodnie spełniające rolę pięści pancernej wymierzonej na wschód, zachód wybrał to drugie. Machnięto w ten sposób ręką na sprawę zjednoczenia. Zajęto ją w ogóle z porządku dziennego wielkiej polityki przesuwając w bardzo daleką przyszłość.

Za kilka dni Niemiecka Republika Demokratyczna obchodzić będzie XII rocznicę swego istnienia. Przez te dwanaście lat zachód uprawiał strusią politykę niedostrzegania NRD, jako trwałego zjawiska politycznego.

Rząd Niemiec zachodnich doceniając znaczenie NRF w Pakcie Atlantyckim i swą ekonomiczną potęgę nie zawahał się uczynić ze sprawy uznania NRD miernika stosunku do Niemieckiej Republiki Federalnej. Doktryna Hallsteina wykluczająca możliwość utrzymywania przez NRF stosunków dyplomatycznych z jakimkolwiek krajem (poza ZSRR), który utrzymuje stosunki dyplomatyczne z NRD była wyrazem tej postawy — jednym z największych szantaży doby współczesnej.

Koncepcję połknięcia NRD przez „jedyne" państwo niemieckie osładzano „demokratycznym" hasłem wolnych wyborów w całych Niemczech, opartym o wzniosłą zasadę „prawa do samostanowienia". Hasło rewizjonistów niemieckich na rok 1961 brzmi: „Prawo do samostanowienia winno dotyczyć również Niemców". Jest to hasło pozornie niewinne a na pewno bardzo chwytliwe.

Hitler też doszedł do władzy w drodze „demokratycznych" wyborów. Naród niemiecki zadecydował jednak wówczas nie tylko o swoim losie ale również o losie Europy i świata. 49 milionów ofiar pochłonęła druga wojna światowa. Dziesiątki milionów ludzi zginęło po to, by odwrócić od świata straszliwy los, jaki jm gotował Hitler wybrany w demokratycznych wyborach. A więc jeżeli teraz Niemcy wybraliby sobie nowego Hitlera, to my wszyscy, Europa i świat, mamy klaskać w dłonie krzycząc „Niech żyje demokracja"?

Trzeba przecież pamiętać, że nikt nie zabiera Niemcom prawa do samostanowienia: część Niemców wybrała już socjalizm, ten socjalizm buduje, umacniając tym samym pokój i bezpieczeństwo nie tylko w swoim kraju. Jeżeli teraz podnoszą głowę, różnego rodzaju odwetowcy i epigoni hitleryzmu, wysuwając pod hasłem „samostanowienia" żądania rewizjonistyczne, odbierając wschodnim Niemcom prawo do organizowania swojego życia, to jak należy ocenić owe hasła?

Dokończenie na str. 7

ROZMOWA ODGŁOSÓW z:

dr Jolantą KULPIŃSKĄ

o

- **sztuce zarządzania**
- **prymacie kobiet w łódzkim środowisku**
- **modelu dobrego kierownika**

— Specjalnością Pani są badania w zakresie socjologii klasy robotniczej. Czy ma Pani swój ulubiony kompleks zagadnień z tej dziedziny? — pytamy *dr JOLANTĘ KULPIŃSKĄ* — adjunkta Zakładu Socjologii Uniwersytetu Łódzkiego.

— Od kilku lat interesuję się warunkami pracy robotników, ich aktywnością, współdziałaniem w zarządzaniu zakładem. Jakie cechy kryją się za tą aktywną postawą człowieka, co wpływa na integrację załóg lub odwrotnie — co powoduje ich dezintegrację oto sprawy pasjonujące socjologa.

— O ile się nie mylę, mimo młodego wieku ma Pani poważny dorobek badawczy na swym koncie?

— Z moim młodym wiekiem, jak również i z tym „poważnym" dorobkiem trochę Pani przesadza. Po prostu od kilku lat zajmuję się socjologią ze szczególnym uwzględnieniem problematyki, o której już wspomniałam.

— A konkretniej?

— Pierwsze badania, już ukończone, ukażą się niebawem nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego. Są to „Studia nad klasą robotniczą", część II, pod redakcją prof. dr J. Szczepańskiego. Przeprowadzałyśmy je w 4-osobowej grupie koleżanek. Badania, którymi objęłyśmy środowiska robotnicze Łodzi i Warszawy, dotyczyły rozwoju rad robotniczych oraz opinii panujących w załogach o radach. Starałyśmy się wyjaśnić co jest przyczyną (po pierwszym okresie entuzjazmu) ostygnięcia gorących uczuć w stosunku do rad robotniczych, lub — jak to niektórzy określali — „oderwania się" od załóg.

— Interesujące, ale i niełatwe do skonkretyzowania. Czy więc nie uproszczę zbyt nio zagadnienia jeśli zapytam: jakie to były przyczyny?

— Odpowiem w tym samym stylu. Złożyło się na nie wiele. Ale najważniejsze to niezrozumienie zadań oraz organizacji tej najmłodszej formy przedstawicielstwa robotniczego w przedsiębiorstwie oraz rozbieżność między zbyt wygórowanymi postulatami a możliwościami ich realizacji. Ta niecierpliwość załóg w oczekiwaniu na szybkie efekty działalności rad robotniczych występowała i występuje dziś jeszcze w zakładach pracy.

— Niecierpliwość człowieka niejednokrotnie była motorem historycznych wydarzeń i postępu. Czyżby tym razem stała się hamulcem?

— Mechanizm każdego zjawiska jest różny i różnie należy go wykorzystywać. Niecierpliwość u jednych jest źródłem aktywności, u drugich zaś — zniechęcenia. Stąd olbrzymie znaczenie psychologicznych warunków pracy robotników, ich wpływ na jego postawę wobec zakładu pracy, do pracy w ogóle. Stąd i znaczenie właściwego zarządzania i kierowania ludźmi w systemie pracy tak, aby warunki te sprzyjały aktywności, integracji załóg a nie ich zniechęceniu.

Z tym zagadnieniem doszliśmy do ostatnich badań jakie prowadzę w jednym z łódzkich przedsiębiorstw. Badania związane są ściśle z tematem poprzednim tj. funkcją samorządu robotniczego i w ogóle problemem zarządzania.

— Tym razem jednak w warunkach typowo łódzkich?

— Tak. W tych ostatnich badaniach przejawia się bardzo wyraźnie specyfika łódzkiego środowiska. „Przekobieconego" — jeśli się tak można wyrazić. Badania dotyczą aktywności załóg, stosunku do pracy społecznej robotników zarówno „aktywnych" jak i tych, którzy takimi nie są.

— Czy owa łódzka specyfika znalazła w badaniach potwierdzenie?

— Tak. A więc znów kilka popularnie sformułowanych uwag. Kobiety są bardziej przeciążone pracami domowymi niż mężczyźni, mają przy tym niższe kwalifikacje zawodowe, charakter ich pracy wiąże się silniej z maszyną w znaczeniu większej zależności ich pracy od obrotów maszyny (tkaczki, prządki, akord!). Mężczyźni wykonują prace bardziej, niezależne, nie tak podporządkowane maszynie a więc bardziej dysponują swym czasem niż kobiety. Stąd dziwne na pozór zjawisko, że w przedsiębiorstwie o poważnej przewadze kobiet wśród aktywu robotniczego jest więcej... mężczyzn.

— Jeśli Pani teraz powie, że aktywność, pasja do angażowania się w różne sprawy jest obca kobietom to nie uwierzę.

— Mówiłyśmy o aktywności w pracy społecznej. Ponieważ praca zawodowa nie zawsze leży w centrum zainteresowania kobiet, a raczej w multum różnych mniejszych i większych spraw domowo-rodzinnych, owa typowa dla kobiet impulsywność przejawia się czasem w „aktywności negatywnej" jak zamiłowania do plotek, podatność na partyjne nastroje itp. Stąd już nietrudno wyprowadzić wniosek co do roli kierownictwa przedsiębiorstwa, samorządu robotniczego w takich zakładach jak chociażby większość przedsiębiorstw łódzkich.

— Czyl', że umiejętne postępowanie z załogą może wyrobić w niej nawyk pracy społecznej?

— Jak najbardziej. Pamiętać przecież trzeba, że zakład ma cele nie tylko produkcyjne, że zaspakajać powinien także społeczne potrzeby ludzi. Tymczasem bardzo często jeszcze dyrekcje i samorządy traktują swoje obowiązki w tym zakresie dość mechanicznie.

— Co według Pani jest podstawą uaktywnienia robotnika, zainteresowania go nie tylko własnym warsztatem pracy, ale większym zespołem jak sala, oddział produkcyjny czy przedsiębiorstwo?

— Przede wszystkim dobra informacja. Na ogół uważa się plakat, radiowęzeł za wystarczające formy informacji. Tymczasem tak nie jest. Najbardziej skuteczna jest informacja bezpośrednia przekazywana na małych zebraniach i naradach. To jest też pierwszy etap uaktywnienia. Drugi — to umiejętne zlecanie zadań społecznych przez kierownika, dyrektora, samorząd robotniczy. Trzeci zaś — to własna inicjatywa robotnika.

— Jaki typ kierownika przeważa w wyobrażeniach robotników?

— Kierownik, dyrektor, przewodniczący może być surowy, ale sprawiedliwy. To co najczęściej występuje w ankiecie to duża wrażliwość robotników na sprawiedliwe postępowanie kierownictwa. Nie tyle tęsknota za wysokimi zarobkami, ale właśnie za sprawiedliwym ich podziałem, nie pogoń za premiami ale za słusznym, uzasadnionym nagradzaniem i karaniem. I jeszcze jedno. To podkreślają zwłaszcza kobiety zatrudnione w przedsiębiorstwach. Dla robotnika duże znaczenie ma to, że dyrektor, kierownik produkcyjny czy polityczny „chodzi" po zakładzie, a nie siedzi zamknięty w swym gabinecie. O tym mówi się prawie w każdej ankiecie. Widać więc, że nie wszyscy kierownicy na tę cechę zarządzania i współżycia zwracają dostateczną uwagę.

Rozmawiała:
KRYSTYNA WYRZYKOWSKA

Struś a sprawa Niemiec

Premierowi Indii Nehru nie przystoi żartować, oświadczył więc przed kilkoma miesiącami z całą powagą, że faktycznie żadnemu rządowi na świecie nie zależy w tej chwili na szybkim zjednoczeniu Niemiec. Ale jakich Niemiec?

Rządy mocarstw zachodnich łącznie z rządem Niemieckiej Republiki Federalnej od dawna już nie mają żadnych iluzji co do możliwości szybkiego zjednoczenia Niemiec. To one przecież zdecydowały się na politykę, która tę możliwość przekreśliła. W 1954 roku Związek Radziecki zgłosił ostatnie propozycje w sprawie zjednoczenia Niemiec w warunkach neutralności. Rok później został podpisany traktat pokojowy z Austrią, który był również zaproszeniem do podobnego rozwiązania problemu niemieckiego. Zachód odpowiedział na to włączeniem Niemieckiej Republiki Federalnej do NATO i jej szybkim uzbrojeniem. Mając do wyboru zjednoczone neutralne i pokojowe Niemcy lub Niemcy zachodnie spełniające rolę pięści pancernej wymierzonej na wschód, zachód wybrał to drugie. Machnięto w ten sposób ręką na sprawę zjednoczenia. Zajęto ją w ogóle z porządku dziennego wielkiej polityki przesuwając w bardzo daleką przyszłość.

Za kilka dni Niemiecka Republika Demokratyczna obchodzić będzie XII rocznicę swego istnienia. Przez te dwanaście lat zachód uprawiał strusią politykę niedostrzegania NRD, jako trwałego zjawiska politycznego.

Rząd Niemiec zachodnich doceniając znaczenie NRF w Pakcie Atlantyckim i swą ekonomiczną potęgę nie zawahał się uczynić ze sprawy uznania NRD miernika stosunku do Niemieckiej Republiki Federalnej. Doktryna Hallsteina wykluczająca możliwość utrzymywania przez NRF stosunków dyplomatycznych z jakimkolwiek krajem (poza ZSRR), który utrzymuje stosunki dyplomatyczne z NRD była wyrazem tej postawy — jednym z największych szantaży doby współczesnej.

Koncepcję połknięcia NRD przez „jedyne" państwo niemieckie osładzano „demokratycznym" hasłem wolnych wyborów w całych Niemczech, opartym o wzniosłą zasadę „prawa do samostanowienia". Hasło rewizjonistów niemieckich na rok 1961 brzmi: „Prawo do samostanowienia winno dotyczyć również Niemców". Jest to hasło pozornie niewinne a na pewno bardzo chwytliwe.

Hitler też doszedł do władzy w drodze „demokratycznych" wyborów. Naród niemiecki zadecydował jednak wówczas nie tylko o swoim losie ale również o losie Europy i świata. 49 milionów ofiar pochłonęła druga wojna światowa. Dziesiątki milionów ludzi zginęło po to, by odwrócić od świata straszliwy los, jaki jm gotował Hitler wybrany w demokratycznych wyborach. A więc jeżeli teraz Niemcy wybraliby sobie nowego Hitlera, to my wszyscy, Europa i świat, mamy klaskać w dłonie krzycząc „Niech żyje demokracja"?

Trzeba przecież pamiętać, że nikt nie zabiera Niemcom prawa do samostanowienia: część Niemców wybrała już socjalizm, ten socjalizm buduje, umacniając tym samym pokój i bezpieczeństwo nie tylko w swoim kraju. Jeżeli teraz podnoszą głowę, różnego rodzaju odwetowcy i epigoni hitleryzmu, wysuwając pod hasłem „samostanowienia" żądania rewizjonistyczne, odbierając wschodnim Niemcom prawo do organizowania swojego życia, to jak należy ocenić owe hasła?

KAROL BADZIAK

PORNOGRAFIA

albo

o podniecającym dowodzie rzeczowym

Motto: **„Kto rozpowszechnia pisma, druki, wizerunki lub inne przedmioty, mające charakter pornograficzny podlega karze aresztu do lat 2".**
art. 214 par. 1 KK

Artykuł 214 Kodeksu Karnego jest jednym z najrzadziej stosowanych artykułów w sądownictwie polskim. Mimo to w bieżącym roku odbyły się na terenie Łodzi dwa procesy tego typu. W jednym z nich występował kioskarz rozpowszechniający zdjęcia pornograficzne wśród młodzieży szkolnej, w drugim były pracownik wytwórni filmowej produkujący druki, zdjęcia i filmy o charakterze pornograficznym. Obaj zostali skazani.

Należałoby się zastanowić, na czym polega szkodliwość społeczna tego rodzaju przestępstw. Sprawa jest o tyle skomplikowana, że dotyczy sfery psychicznej jednostki, i że właściwie do dziś definicja pojęcia pornografii nie jest ostatecznie sformułowana. Dlatego też komentarz do Kodeksu Karnego nie odpowiada co to jest pornografia, tylko co jest jej celem: „Pornografia ma na celu podniesienie pobudliwości płciowej. Przy rozstrzyganiu czy dane pismo, druk lub wizerunek ma charakter pornograficzny należy zwrócić uwagę na subiektywny nastrój woli sprawcy, który odbija się w samym dziele. Z samego bowiem dzieła wynika, czy autorowi chodziło przede wszystkim o stworzenie dzieła sztuki (a więc o efekt artystyczny) czy też o wywołanie podniecenia płciowego?"

Charakterystyczne, że we wszystkich procesach, o przestępstwo z artykułu 214 nie wystarcza tylko przedstawić dowód rzeczowy, ale trzeba go jeszcze określić. We wszelkich innych sprawach wiadomo, że młotek jest młotkiem a skradzione futro futrem. W tym wyjątkowym wypadku prawo domaga się od sędziów konstatacji, czy dowód rzeczowy jest nim faktycznie.

I tu zaczyna się dopiero interesujący dylemat: ustalenie, czy jakiś przedmiot jest dziełem artystycznym czy pornograficznym zależy od poczucia estetycznego i wyobraźni sędziów. O ile mi wiadomo, ani wrażliwość estetyczna ani wyobraźnia nie zostały jeszcze przez prawo skodyfikowane, stąd paradoksalna sytuacja dla oskarżonego: wyrok sądu zależny jest całkowicie od wyobraźni sądzących; od tego, czy dane dzieło podnieca ich płciowo czy też nie podnieca.

Pomijając żart sprawa jest o tyle istotna (nie w sensie prawnym, bo ten był tu dla mnie tylko pretekstem; w tej dziedzinie precedensy same narzucają pewne normy kwalifikujące) dla ludzi sztuki, że dość często przy okazji różnych wystaw plastycznych czy fotograficznych spotykają się oni z wyrazami świętego oburzenia określonej części publiczności wobec śmiałych ekspozycji aktów, jakie odważyli się tam umieścić. Zresztą i niektórych pisarzy to święte oburzenie równie sięga.

Ale spójrzmy tylko kto to są ci gniewni, oburzeni i rozdzierający szaty? Kogo te rzeczy gorszą? A więc przede wszystkim wszelkiego autorytymentu dewotów i dewotki, tercjarzy i tercjarki, stare niewyżyte panny i kler. Czyli ogólnie ludzi żyjących w celibacie świadomie sobie narzuconym. Nie biorę tu pod uwagę więźniów i wojskowych — żyjących w celibacie z konieczności, nie z wyboru.

Znane nam są fakty z okresu średniowiecza, kiedy to zakonnicy największym dziełom Odrodzenia odpukiwali młoteczkami imponderabilia i inne wypukłości ludzkiej natury. Ten gorliwy protest bierze się u pewnej kategorii osób stąd, że dzieła sztuki rzeczywiście ich podniecają, a więc gorszą, powodując (w ich mniemaniu) grzeszne myśli. Oczywiście, nie jest to wina owych dzieł ani ich twórców, ale poczucia estetycznego wyhodowanego na głodnej wyobraźni konsumentów. Ten gatunek perwersyjnych odbiorców utożsamia siebie ze wszystkimi odbiorcami na zasadzie: jeśli u mnie akt rodzi podniety erotyczne to u innych także. Oczywiste, że tak nie jest. W ten sposób reaguje tylko człowiek z brudną wyobraźnią. Dzieło sztuki jest papierkiem lakmusowym za pomocą którego można samego siebie sprawdzić.

Pornografia nie jest bowiem cechą dzieła sztuki, ale cechą ludzkiej wyobraźni. Dlatego też najbardziej zajadli przeciwnicy sztuki, najokrutniejsi jej sędziowie rekrutują się z jednostek niewyżytych seksualnie. Ich ascetyczne życie zewnętrzne natura kompensuje sobie w ten sposób, że bruka im wyobraźnię.

Wszystkim artystom życzyć więc tylko należy, ażeby nie sądziły ich dewotki i abstynenci. Bo tacy i w Starym Testamencie gotowi są doszukać się akcentów pornograficznych.

P.S.

Zamiast polemiki

Spotkałem niedawno pewnego młodego człowieka, który biegał po mieście i chwalił się, że został zacytowany w poważnym piśmie literackim. Cytatem tym jak się później okazało była odpowiedź „Poczty literackiej" owego tygodnika, która brzmiała:

„A. M. Łódź. Z żalem stwierdzamy, że opowiadanie nadesłane nie jest na poziomie wymaganym do druku. Łączymy pozdrowienia".

Zdarzenie to przypomniało mi się w związku z Aleksandrem Rowińskim, który umieszcza swe artykuły w „Prawie i Życiu". Pisząc swego czasu („Odgłosy" nr 37 (185) 17 września 1961 r.) na temat adwokatury zdarzyło mi się wspomnieć na marginesie o stanowisku, jakie w tej samej sprawie zajął A. Rowiński na łamach „Prawa i Życia". Tym bardziej więc byłem zaskoczony kiedy wspomniany autor w tydzień po moim skromnym felietoniku wyrżnął do mnie z dwururki: najpierw dwukrotnie większym kalibrem w piśmie macierzystym, a następnie jak by w obawie, że i to nie pomoże listem do redaktora „Odgłosów".

Ponieważ w swej „polemice" Aleksander Rowiński używa ni mniej ni więcej tylko takich błyskotliwych zwrotów pod moim adresem, jak: („Jestem głęboko wdzięczny Karolowi Badziakowi, że wzmożonego wykupywania soli i cukru nie wywiódł z moich rozważań o adwokaturze..." (lub) ....Karol Badziak — przeplatając pieczeniem pospolitych głupstw o wymiarze sprawiedliwości — snuje wątek o mecenasach chrząkających") — sądzę, że zwalnia mnie to całkowicie od obowiązku wszczynania merytorycznej kontrowersji.

— „Znaj proporcje, Mociumpanie" — powiadał pewien Aleksander. Ale to nie był Rowiński.

P.S. II Kogo interesuje meritum sprawy może sięgnąć do ostatniego numeru „Prawa i Życia" z dnia 1 października 1961 r., gdzie Władysław Żywicki w artykule pt. „O błędnych poglądach na adwokaturę" (A. Rowińskiego, dop. K. B.) pisze m. in. na interesujący nas temat co następuje: „Przypuszczam, że A. Rowiński pisząc swój artykuł zapomniał o tym, że poglądy społeczeństwa nie są jednolite, że każdy tworzy sobie pewne wyobrażenia stosownie do własnej kultury i własnej moralności. Być może, że wśród przedstawicieli świata przestępczego, wśród niektórych zawodowych kryminalistów uważa się za „prawdziwego" tylko takiego adwokata, który ma „chody" i który kupuje sobie ludzi; uważa się też, że do każdego urzędnika i sędziego można trafić. Ale chyba nie można i nie należy utożsamiać poglądów przyjętych w niektórych środowiskach przestępczych z opinią całego społeczeństwa".

K. B.

JACEK czy PLACEK?

Jana Batorego poznaliśmy jako twórcę filmu „Odwiedziny prezydenta". Tym razem Jan Batory porzucił zawiłe problemy psychologiczne i podjął się realizacji pogodnej i wesołej komedii opartej na uroczej książeczce Makuszyńskiego, „O dwóch takich co ukradli księżyc". Przygody bliźniaków Jacka i Placka, którzy z rodzinnej wsi wywędrowali w świat, aby znaleźć szczęście i pieniądze, rozgrywają się w fantastycznych baśniowych krainach. Część zdjęć kręcono w Łebie, gdzie piaszczyste wydmy z powodzeniem zastępowały udziwniony krajobraz wymyślony przez Makuszyńskiego. Resztę pleneru dokręca ekipa na podłódzkim poligonie.

Gdy dotarłem na plan robiono właśnie fragmenty poprzedzające wielki wyścig dookoła miasta — „wyłącznie dla garbatych" jak głosił napis. Mieszkańcy grody do którego dotarli Jacek i Placek gustowali bowiem wielce w tego rodzaju rozrywkach.

Po ulicy Podatków kręci się tłum w bajecznie kolorowych kostiumach, wszyscy z przeogromnymi garbami na plecach. Urzędnicy przy ogromnych stołach nawołują do płacenia najwyszukańszych podatków: od wiatru, śpiewu słowika, noszenia spodni, robactwa i posiadania psa. Jacek i Placek, których odróżnić jest niesłychanie trudno, chcą wykorzystać ten fakt i wziąć udział w wyścigu, aby wygrać nagrodę. Nikt bowiem nie będzie w stanie rozpoznać czy zawodnik, który rozpoczął bieg jest tym samym, który bieg wygrywa. Podstęp się udaje, ale wkrótce potem mieszkańcy wykrywają fałszerstwo.

Korzystam z chwili przerwy, aby porozmawiać z reżyserem.

— Oczywiście — mówi — reżyser Jan Batory — dla zwartości i przejrzystości akcji musieliśmy zrezygnować z wielu wątków przygodowych, jakich w książce Makuszyńskiego jest dużo. Pewne sceny skreśliliśmy, pewne rozbudowaliśmy. I tak na przykład motyw kradzieży księżycia, który w książce jest raczej sprawą marginesową, u nas stanowi wątek przewodni. W pozostałych sprawach natomiast staraliśmy się odtworzyć wiernie klimat i nastrój książki. Nie, nie będzie to film tego rodzaju co „Król Maciuś I". Tamten był zrealizowany w zupełnie innej konwencji. Moim zamiarem jest zrealizowanie zabawnej i miłej komedii dla młodszego widza".

Masę ciekawych historii związanych z produkcją filmu opowiedział mi również p. Franciszek Petersile, kierownik produkcji tegoż filmu. Masę kłopotów przysporzyło wyszukanie pary autentycznych bliźniaków. Ogłoszono konkurs, na który zgłosiło się ponad 300 par. Były nawet i trojaczki. Po próbnych zdjęciach i burzliwych naradach wybrano wreszcie zwycięską parę — braci Lecha i Jarosława Kaczyńskich.

— To oczko w głowie całej ekipy — śmieje się pan Petersile. — Niech pan pomyśli, wystarczy żeby się który przeziębił i postój murowany.

Zwierzęta odgrywają u Makuszyńskiego dużą rolę. Nie zabraknie ich i w filmie. Jako „aktorzy" występują czarna koza, osioł, kogut i bociany. Trzeba było zatrudnić specjalnego tresera, który przygotował zwierzęta do ich „roli".

Z kogutem wydarzyła się zabawna historia. Otóż jest w filmie scena, w której kogut pieje. Pod czujnym okiem tresera nasz bohater czynił to rzeczywiście wspaniale. W pewnym momencie przestał. Żadna siła, błagania czy groźby nie były w stanie zmusić go do kontynuowania piania. Po wielu bezskutecznych próbach ktoś wpadł na pomysł, żeby zrobić mu audytorium. Wzięto dwie kury, ustawiono naprzeciw i kiedy zaczęły gdakać kogut napuszył się i zapiał jak nigdy dotąd.

Oprócz bliźniaków w filmie grają również i dorośli aktorzy. Zobaczymy w nim H. Grossównę, (aktorka Teatrów „Syrena" i „Buffo") w roli matki chłopców i Ludwika Benoit w roli Wojciecha. W pozostałych rolach wystąpią również: Pawlikowski, Kłosiński, Svoczylas i inni. Ukończenie zdjęć przewiduje się na koniec bieżącego roku tak, że w połowie przyszłego roku możemy się spodziewać premiery nowej komedii polskiej.

WŁODZIMIERZ ŁUSZCZYKIEWICZ

Jacek czy Placek?

Nie. To właśnie jest Placek, a to Jacek, czyli Lech i Jarosław Kaczyńscy w filmie, „O dwóch takich, co ukradli Księżyc"

Fot. W. Rozmysłowicz

Dziś 2 STRONY MIESZANKI FILMOWEJ

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„Urzeczona"

Teorią pschoanalizy Freuda swego czasu zajmowali się niemal wszyscy, począwszy od czcigodnych profesorów uniwersyteckich katedr, kończąc na różnego typu snobach i paniusiach wysiadujących przy kawiarnianych stolikach.

Teoria Freuda posłużyła także znanemu polskiemu komediopisarzowi Antoniemu Cwojdzińskiemu do napisania zgrabnej komedii pt. „Freuda — teoria snów", granej z powodzieniem m. in. na deskach warszawskiego Teatru Małego.

Gorzej, gdy freudowska teoria psychoanalizy stała się kanwą banalnego dramatu filmowego. Od początku do końca wieje z „Urzeczonej" bzdurą i taniem psychologizowaniem oraz rażącymi uproszczeniami. Tym zdaniem można by zakończyć recenzję „Urzeczonej", gdyby nie „ale", które czyni, że autor tego omówienia oraz chyba i widzowie, obejrzeli film z zainteresowaniem.

Alferd Hitchcock udawadnia w „Urzeczonej", że nawet na podstawie bzdurnego, słabego scenariusza można zrealizować film, który swą akcją będzie intrygował niemal każdego widza. Słynne „stopniowanie napięć" Hitchcock stosuje z iście zegarmistrzowską precyzją. Dzięki temu uatrakcyjnia nawet najbardziej bzdurną fabułę. Z niecierpliwością więc śledza widzowie losy sympatycznego Gregory Pecka, odtwarzającego postać człowieka, który stracił pamięć i jest podejrzany o zabójstwo, wierząc jednocześnie w swoją rzekomą winę. Chorego leczy kobieta psychiatra i do tego tak urodziwa jak Ingrid Bergman. Do wytworzenia dziwnej, napiętej atmosfery, przyczynił się również czołowy dziwak świata — Salwador Dali. Jego projekty sennych marzeń chorego są rzeczywiście groźne w swej beznadziejności, choć bardzo stare, trącące myszką z czasów „Psa andaluzyjskiego", który w roku 1928 Dali zrealizował przy współudziale znanego reżysera Luisa Bunnela. („Urzeczoną" zrealizowano w 1945 roku.)

Hitchcock wszystkie te surrealistyczne udziwnienia wykorzystał z umiarem i precyzją swego znakomitego rzemiosła filmowego; z mistrzostwem autora — „W cieniu podejrzenia", „Tajnego agenta", „Rebeki", „Aktu oskarżenia", „Okna na podwórze" i jeszcze u nas nie oglądanej, a szeroko opisywanej w prasie filmowej — „Psychozy".

„Urzeczoną" można z zainteresowaniem obejrzeć i wszystkim widzom o „mocnych nerwach" polecić.

BOLESŁAW W. LEWICKI

MIEJSCE W HISTORII

(Rzecz o A. Munku)

Artykuł ten mówi o Andrzeju Munku, twórcy filmowym i jednocześnie jednym z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej sztuki dnia dzisiejszego. Dzisiejszego? Przecież Andrzej Munk odszedł już z grona żyjących — i tym samym reprezentuje już wczoraj. Zamknięte historyczne wczoraj.

Nieuchwytny moment przechodzenia teraźniejszości w niepowrotną przeszłość przejmuje stale zadumą poetów i filozofów, zastanowić musi jednak i zatrwożyć każdego w zetknięciu ze śmiercią — zwłaszcza tak nieoczekiwaną i przedwczesną, jak ta właśnie. Trudno tętniący nurt twórczości, jakże bardzo dzisiejszej i w przyszłość wprowadzającej — uznać za coś zamkniętego i skończonego. Kiedy umiera twórca o zapisanym rejestrze osiągnięć żal nie jest tak dziwny i gorzki, jak wtedy, gdy przerywa się proces ledwie zaczęty a niosący obietnice i zapowiadający niespodzianki. To tak, jakby w trakcie pasjonującego spektaklu, po pierwszym akcie zapuszczono żelazną kurtynę i powiedziano rozciekawionej publiczności: „Idźcie do domu, to już koniec. Dalszego ciągu nie będzie". W sytuacji takiej byłoby coś z nadużycia — i właśnie taką sytuację znosić wypada w poczuciu bezsilności, gdy na niespodziany etap twórczości Munka zapadła żelazna kurtyna śmierci i gdy z trudem uświadamiamy sobie, że naprawdę dalszego ciągu nie doczekamy. Tym bardziej, że Munk był twórcą w postawie swej samotnym i jakby skłócony z tym wszystkim, co pochopnie nazywa się „polską szkołą filmową".

Jeżeli Munk był współuczestnikiem tej „polskiej szkoły" (próbowano go przecież na siłę do niej zaliczyć), to na zasadzie sprzeciwu, odmienności i kontrastu. Ta jego przekorna i zacięta pasja: stawiania przeciw mitologii i przeciw pustym popisom stylistycznym, przyzwyczaiła nas, widzów i zwolenników jego sztuki, do oczekiwania nowych jego filmów, jak nowych spięć dramaturgicznych, jak nowych etapów walki.

Śmierć Munka, jak się rzekło, jest jakimś potwornym, bo nieodwracalnym, absurdem. Trafiło się już coś analogicznego równo dziesięć lat temu. Mam na myśli śmierć Tadeusza Borowskiego. Te dwa zgony: Borowskiego i Munka, postawiły kropkę w zupełnie nieodpowiednich momentach działalności epickiej. Dużo było takich, co niecierpliwie czekali na dalsze ciągi tych sporów o prawdziwe oblicze polskiego dnia dzisiejszego. Ale dalszego ciągu nie było.

Mogiłę Munka pokrywają wieńce i kwiaty. Przebrzmiały mowy pogrzebowe, wydrukowano już ostatnie nekrologi. Sprawy polskiej epiki filmowej toczą się dalej i ostra wyrwa, którą w tym nurcie spowodowała śmierć autora „Człowieka na torze" i „Eroiki", będzie się wkrótce zabliźniać. Choć trudno to sobie jeszcze uzmysłowić. Andrzej Munk i jego twórczość stały się już elementem zamkniętym historii. Nie tylko historii filmu, ale także historii polskiej epiki, film bowiem na równi z literaturą stanowi w sztuce XX-go wieku wspólny nurt opowiadań, rozważań i osądów. Trzeba już teraz pomyśleć o miejscu, które zajmie w historii twórczość Munka, trzeba zastanowić się nad odpowiednią klasyfikacją.

Zadanie nie jest wcale łatwe. W grę wchodzi zarówno właściwe umiejscowienie wśród filmów polskich oraz światowych, jak i znalezienie właściwej nazwy typologicznej dla rodzaju epiki reprezentowanej przez spuściznę twórczą Munka. Jednym słowem: trzeba spróbować mówić o Munku w kategoriach historycznej pragmatyki i racjonalnie wyważonej krytyki.

Były już próby oceny twórczości Munka. Zapoczątkował je Aleksander Jackiewicz w r. 1958 dwoma obszernymi esejami: „Mitologia i realizm" i „Groteska heroiczna" (Kwartalnik Filmowy nr 30 i 31). Munk był wtedy twórcą „Człowieka na torze" (filmu, który reprezentował przełom tematyczny kinematografii polskiej) oraz „Eroiki", która dla milionowych odbiorców wzruszeń heroiczno-patetycznych stała się przysłowiowym kijem w mrowisku i kamieniem narodowej obrazy. Munk, wyrosły ze szkoły socrealistycznego dokumentu, przeszedł jej wszystkie etapy i przebrnął wszystkie jej mielizny. Już jego „Kolejarskie słowo" wykazało przebijanie się własnego punktu widzenia (nazwijmy to tzw. spojrzeniem twórczym) ponad schemat gatunkowej publicystycznej poetyki. „Błękitny krzyż" — to zwycięstwo epiki nad relacją reporterską. „Człowiek na torze" obok odwagi ideologicznej przyniósł nowe, odkrywcze rozwiązania formalne.

Twórca kolejnego dzieła, „Eroiki", miał za sobą niezwykle konsekwentną drogę rozwoju. Mógł pozwolić sobie na podjęcie polemiki nie tylko z tradycyjną formą filmu fabularnego, ale także z tradycyjną postawą tematyczną całej polskiej epiki. „Eroika" wywołała histeryczne okrzyki oburzenia i pozostawiła w pisanej krytyce ślady wielu grymasów. Wspomniane oba szkice Jackiewicza w tym właśnie momencie rozwojowym, podjęły zadanie określenia typu twórczości Munka. Być może Jackiewicz dopisze do tych dwu wspomnianych trzeci esej, zamykający cały dorobek twórczy autora „Zezowatego szczęścia". Jeśli ten trzeci esej powstanie, będziemy mogli mówić o pierwszej historycznej relacji o twórczości Munka. Można bowiem sądzić, że u innych pisarzy, zajmujących się sprawami dzisiejszego filmu polskiego, Munk jest w jakimś dziwnym sensie niedoceniany i spychany na margines. Zarówno Bolesław Michałek (w książce: „Szkice o filmie polskim") jak i Krzysztof T. Toeplitz (w swoim: „Seansie mitologicznym") traktują dzieła Munka jako swoisty margines naszej współczesnej epiki filmowej. Doceniają jego odwagę, ale stawiają go daleko poza Hasem i Lenartowiczem, nie próbując nawet zestawiać go z klasą autorską Wajdy i Kawalerowicza. Podobne stanowisko zajmuje w tej materii i Jerzy Toeplitz w swych szkicach o filmie w Polsce powojennej (Kwartalnik Filmowy, n-ry: 25 i 34 oraz Nowe Drogi 1960 nr 6). I już się stwarza pewien schemat historyczny, który zjawiska nietypowe względnie sprzeczne z przeważającym nurtem, taksuje jako drugorzędne lub posiadające jedynie wartość repliki. Przypomnieć warto, że podobnie próbowano zakategoryzować przed I-szą wojną światową twórczość Żeromskiego, ponieważ — zdaniem niektórych współczesnych rozdrapywał tylko rany ambicji narodowej i ponieważ wtedy źle było być twórcą niesienkiewiczowskim i niereymontowskim.

Czy nie należy odrazu zrewidować pozycji Munka w stosunku do współczesnych ulubionych kręgów tematycznych i manier stylistycznych? Jeśli zechcemy zestawić jego twórczość nie z kompletem tzw. „polskiej szkoły", oczywiście filmowej, ale z całą polską epiką współczesną, możemy dojść do bardziej konkretnych i znaczących uogólnień. W tej sferze porównań znajdzie się Munk, jako epik walczący — i już nie będzie taki osamotniony ani taki marginalny.

Nasunie się tu pewna trudność, tak typowa dla historii filmu. Można bowiem postawić formalne pytanie: czy Munk był prawdziwym autorem swych filmów fabularnych? Przecież były one — formalnie rzecz biorąc — jedynie ekranową trawestacją nowel Stawińskiego. A więc ten odważny i ten drażniący to był Stawiński, rola Munka zaś — być może — sprowadzała się do funkcji stylisty i trawestatora. No i dalej mogą się wysuwać dalsze wątpliwości — aż do ostatecznej, tak często dyskutowanej, problematyki: kto właściwie jest autorem dzieła filmowego? Scenarzysta czy reżyser?

Sprawa ta posiada swą trudną specyfikę. Bo naprawdę można się długo spierać: kto jest autorem ekranowej „Matki", Gorki czy Pudowkin? Czy w kulturze polskiej notowane są dwie „Celulozy", tj. jedna Neverlego a druga Kawalerowicza? Jeśli istnieje poczytna ciągle powieść „Czerwone i czarne" po co upraszcza się ją i kurtyzuje dla potrzeb ekranu? Sprawa symbiozy dzieła filmowego z jego prototypem literackim jest poważnym problemem kultury XX-go wieku i nieprędko jeszcze potrafią go historycy sprowadzić do norm jakiejś prawidłowości. Stosunkowo dużo miałaby tu do powiedzenia socjologia sztuki, ale nie tylko o socjologiczne wartości idzie w tym problemie. Nauka o kulturze, a w jej ramach historia literatury i historia filmu, zajmują się sprawą wartości i posługują się również kategoriami wartości. W grę wchodzi zarówno czynnik doniosłości społecznej (związany mechanicznie ale w istotny sposób z formą podawczą: czytelnictwo, widowisko masowe), jak i czynnik struktury formalnej z odpowiadającymi mu postawami estetycznymi.

W ramach tych kategorii badawczych można ustalić, jak i w jakim zasięgu literackie propozycje Stawińskiego przetworzyły się i obrosły nowymi wartościami w filmowym ujęciu Munka. Niechże się nad tym zagadnieniem biedza krytycy i historycy. Artykuł ten sygnalizuje tylko to zagadnienie. Można się tylko, już teraz, pokusić o hipotezę, że w wypadku autorskim: Stawiński—Munk mamy do czynienia z typowym wypadkiem tzw. drugiej redakcji dzieła. I już teraz można przypuszczać, że jest to przykład tzw. wartości rozszerzonych. Nie jest to tylko zasługa samej formy filmowej (że niby bardziej dynamiczna i silniej przemawiająca). Jest to sprawa drugiej osobowości twórczej. Szlachetne, ale spokojne i jakby beznamiętne nowele Stawińskiego stały się w filmowej konkretyzacji Munka dziełami nowymi — zarówno przez swe układy dramturgiczne i formalne, jak i przez inną, mocniejszą atmosferę wypowiedzi. Zmieniły się punkty widzenia, zmienił się i gatunek dzieł. A jeżeli tak, to czy nie można mówić o powstaniu nowych dzieł?

Zakończony przed tygodniem miesiąc filmu polskiego nastręczył krytyce naszej wiele okazji do syntetyzujących ocen dzisiejszego filmu polskiego. Oceny te nie zawsze były pochlebne — a zwycięska w kuluarach zagranicznych festiwalów „polska szkoła" doczekała się wielu cierpkich słów przygany. Andrzej Kijowski (Przegląd Kulturalny nr 38) nazwał ją „cudownym rozpieszczonym dzieckiem, któremu wszystko wolno, skoro nam tyle chwały przysparza na zagranicznych festiwalach" i dodał: „niech piekło pochłonie tę szkołę, gdyż uczy kokieterii, zadufania w siebie, nieodpowiedzialności". I w tych krytykach miesiąca filmów polskich nie znaleziono miejsca ani formuły na określenie twórczości Munka — który występował zawsze przeciw kokieterii stylistycznej, przeciwko zadufaniu, przeciwko nieodpowiedzialności. Zadokumentował to swymi dziełami — ale tych dzieł krytycy nie potrafili odczytać i odpowiednio zakwalifikować.

Artykuł ten mówi o potrzebie znalezienia właściwego miejsca w historii dla

twórczości Andrzeja Munka. Kategorie historii są inne, niż doraźne klasyfikacje krytyki. W świetle historii może się łatwo okazać, że właśnie dzieła Munka reprezentowały całą godność polskiej sztuki filmowej. Godność narodową i wielkość estetyczna.

ALINA GRABOWSKA

Film na małym ekranie

Do kina idzie kilkaset osób — film w telewizji ogląda kilkaset tysięcy. Jest to ogromna różnica, lecz nie zmieniająca faktu, że film w TV należy do tej grupy programów, które w zasadzie nie ulegają żadnej zmianie przy przeniesieniu na „mały ekran". Film jest filmem — niezależnie od tego gdzie i w jakich warunkach go oglądamy, na pracę telekina nie ma wpływu ani reżyser telewizyjny, ani mikser, ani kamerzysta. Do XI Muzy należy więc już tylko sprawa wyboru. Otrzymuje ona gotowy już produkt, nie podlegający żadnym transformacjom i to, jak sądzę, powoduje pewną odrębność „kina w telewizji" w zestawieniu z oryginalnymi programami „małego ekranu".

Nie oznacza to oczywiście, aby specyfika odbioru nie odgrywała tu ważkiej roli. Na temat estetyki filmu telewizyjnego trudno jednak mówić w naszej sytuacji, skoro ów film, film przeznaczony szczególnie dla TV — praktycznie biorąc u nas prawie nie istnieje. Dopóki więc nie możemy poważnie mówić o jakiejś masowej produkcji filmów telewizyjnych — pozostaje tylko dyskusja nad wyborem.

I znów: nie oznacza to pominięcia istotnych spraw technicznych. Wiadomo, że są filmy, które zasadniczo tracą jeśli są wyświetlane na „małym ekranie". Są to filmy np. panoramiczne, filmy kolorowe. TV powinna z zasady unikać tego typu obrazów — jako przykład podam „Złodzieja z Bagdadu". Inna sprawa: wiadomo, że odbiór filmu TV jest o wiele mniej wyraźny. Widzowie, którzy oglądali „Piękną i bestię" Cocteau zauważyli miast niektórych zdjęć — zamglone, migające plamy.

Filmowy program polskiej telewizji jest w tej chwili tak poważną częścią całości emisji, że warto poświęcić mu nieco uwagi. Zacznijmy od filmu krótkometrażowego.

Dopiero we wrześniu TV przystąpiła do jakiegoś konsekwentenego prezentowania widzowi polskich krótkometrażówek. „Kino krótkiego metrażu" przewiduje cotygodniowe półgodzinne audycje wraz z prelekcją, rozmowami z reżyserami itd. itp. Na pierwszy ogień dano przegląd polskiego powojennego dokumentu — np. Przysięgamy ziemi polskiej", i „Majdanek" Forda, „Powódź" Bossaka „Ludzie w drodze" Karabasza, filmy Łomnickiego, Hoffmana, Borowika czy Makarczyńskiego. Zainicjowanie tej audycji nie zmienia jednak faktu, że krótki metraż nadal stanowi dla TV coś, czym — czasem w najmniej konsekwentny sposób — zapchać można każdą „dziurę" programową. Przeraża absolutna przypadkowość z jaką w trakcie całodniowej emisji oglądamy stare krótkometrażówki obok nowych polskich, jak i zagranicznych, a wszystko razem wymieszane jeszcze z bajeczkami dla dzieci. Film krótkometrażowy szatkuje się i tnie w najmniej przewidzianych po temu momentach, — jeśli na antenę wchodzi inna audycja. W tej dziedzinie program TV przedstawia więc jeszcze wiele do życzenia.

Podobny brak konsekwencji widać zresztą także w układaniu programu filmowego w ogóle. Cały ubiegły rok przeminął właściwie pod znakiem kilkudziesięciu filmów, zakupionych na nieszczęście naszej TV w Paryżu i w Londynie. Rzecz bowiem w tym, że były to filmy wprawdzie podobno bardzo tanie — ale też bardzo niedobre... Nie ma sensu przytaczać ich tytułów. Wystarczy powiedzieć, że były to typowe trzeciorzędne obrazy z pogranicza szmiry lub nawet czasem wręcz... z krainy szmiry. Towarzyszyła im natomiast reklama mówiąca, że danem je będzie oglądać widzom telewizyjnym, ponieważ w kinach filmy te nie będą rozpowszechniane. Ponieważ jednak pula owych tytułów w końcu się nareszcie wyczerpała — telewizja stanęła wobec konieczności korzystania bądź z aktualnych filmów, jakimi dysponuje CWF, bądź też zakupienia następnej porcji, czy też szukania ratunku we wznowieniach. Nie jest to z pewnością łatwa sytuacja. Jak dogodzić widzowi, który chciałby oglądać na „małym ekranie" coś nowego a jednocześnie uczęszcza przecież do kina? Jak pogodzić interes odbiorcy, domagającego się nowych premier filmowych w telewizji z interesem kin, dla których telewizja stanowi przecież potężną konkurencję?

Trzeba powiedzieć, że z trudnej sytuacji TV pod wieloma względami wybrnęła zwycięsko. Na przestrzeni ostatniego półrocza oglądaliśmy na „małym ekranie" szereg naprawdę interesujących pozycji zarówno wśród wznowień, jak i wśród filmów dotąd na ekranach kinowych nie pokazywanych. Wymieńmy kilka tytułów: „Niepotrzebni mogą odejść" Reeda, „Potępieńcy" Clemanta, „Tron we krwi" Kurosawy, filmy Zinnemanna. Carne'go, Cocteau, cykl westernów — np. „Napad na Western Union", „Droga do „Yellow Stone" czy „W samo południe". Na małych ekranach obejrzeliśmy Jouveta, Barraulta, Alec Guinnessa, Ericha von Strocheima, Gregory Pecka, Freda Astaire'a. Niemal w każdym tygodniu znaleźć można jakąś pozycję, o której warto by mówić.

Z drugiej jednak strony, masowy widz nie jest absolutnie informowany o charakterze i rodzaju wyświetlanego filmu. Wyświetla się np. „Wieczornych gości" Marcela Carne — film absolutnie nie do strawienia dla współczesnego odbiorcy — nie informując jednocześnie o tym, że film powstał w czasie okupacji, że miał ogromne znaczenie polityczne, nie mówiąc o jego roli w historii filmu francuskiego. Wyświetla się „Oliwera Twista", Dawida Leana ze znakomitym Guinnessem, film, który nie był rozpowszechniany na ekranach — i niczym jednocześnie nie zapowiada się ewenementu filmowego. Podobnie przy „Alibi", w którym występuje przecież Jouvet i Erich von Stroheim, czy „Śmiesznym dramacie" z Jouvetem i Barraultem. A przecież wiele z tych filmów posiada rację bytu właśnie dzięki roli jaką odegrały w historii sztuki filmowej. Indolencja komentatorów telewizyjnych dochodzi do tego, że słynny „Czas w słońcu" zapowiedziano jako film produkcji... angielskiej. Nie ma więc sposobu aby odbiorca telewizyjny mógł zwrócić uwagę na rzeczywiste i konkretne wartości programu filmowego TV. Zagubią się one pośród wielu obrazów przypadkowych, czysto rozrywkowych, komercjalnych.

Tak więc wydaje się, że sprawa dojrzała już do tego aby: po pierwsze — zarezerwować poszczególne dni tygodnia dla konkretnych gatunków filmowych. Byłoby wówczas wiadomo, że na przykład wtorek przeznaczony jest dla „komedii", środa dla „filmu obyczajowego", a czwartek dla „dramatu". Widz wiedziałby czego ma się spodziewać i co oglądać.

Po drugie — palącą koniecznością staje się stworzenie w TV „kina dobrych filmów". Tam właśnie byłoby miejsce na prelekcje, informacje, na to, aby wskazać co w danym obrazie zasługuje na szczególną uwagę. Wówczas „Tron we krwi" nie przemknie niezauważony obok szmiry w rodzaju „Występna Lady", a „Czas w słońcu", obok „Zory, Kory i Muszki".

Dalszy ciąg ze str. 1

fy na czymś w rodzaju lektyki i poniosły w stronę lądu. Czarna ekipa brodząc po pas w wodzie, dzierżyła swój biały ciężar wysoko, ostrożnie, chroniąc przed bryzgami pianę niczym drogocenny skrab.

Wyznam, że czułem się w tej roli dostatecznie głupio. Wszystko, co kiedyś czytałem o białych podróżujących po Afryce na karkach Murzynów, było w końcu jakimś niejasnym i teoretycznym, że tak powiem, wspomnieniem; teraz, gdy przyszło mi to przeżywać w rzeczywistości, zażenowanie opadło mnie tak wielkie, iż omal nie skoczyłem ze swojej lektyki w objęcia słonej wody. Bo gdybym chociaż był kobietą, starcem, albo dzieckiem! Lub gdyby nie działo się to wszystko w kraju, który trzy lata temu uwolnił się z kolonialnej zależności i wszystkich nierówności rasowych, jakie z kolonializmem się wiążą! Nie tak sobie wyobrażałem mój wjazd do wolnej Ghany.

Nie skoczyłem jednak, nie zrobiłem tego głupstwa. Rozsądnie „dojechałem" lektyką do brzegu, po czym z równym rozsądkiem ofiarowałem każdemu z moich nosicieli paczkę papierosów. I w końcu wszyscy byliśmy zadowoleni: oni, ponieważ zdobyli papierosy, ja — ponieważ zrozumiałem, że dawne obyczaje i praktyki nie mogły zniknąć w ciągu krótkich trzech lat. Aby czarny nie nosił białego na plecach, trzeba dopiero wybudować nowoczesne porty z nabrzeżami, trzeba poprzebijać poprzez dżunglę i busz drogi i szosy — wszędzie tam, gdzie są one konieczne, i gdzie podróżuje się jeszcze lektykami (tak! sam widziałem współczesne zdjęcia!) itd. itd. Aby zaś czarny ze swojej strony nabrał niechęci do wszelkich poniżających zajęć, musi zarobić na paczkę papierosów, gdzie indziej, w przemyśle, który dopiero trzeba rozbudować, w lepiej rozwiniętym rzemiośle, słowem w samodzielnej i wolnej pracy: trzy lata tymczasem, to grubo za mało na stworzenie mu takich możliwości.

Ale tak czy inaczej suchą nogą stanąłem na brzegu — i oto jestem w stolicy Ghany...

Jeżeli ktoś chce raz na zawsze nasycić się i przesycić egzotyzmem, niechaj się uda do Akry: nie wiem, czy istnieje bardziej barwne i bardziej męczące miasto na świecie. Ale w celu poznania koloru, a zwłaszcza zapachu Akry, należy spełnić co najmniej dwa warunki.

Po pierwsze, nie wolno zamykać się w wieży z kości słoniowej, których to wież na użytek białego człowieka wzniesiono tutaj kilka. Klimatyzowane hotele **Ambasador** i **Avenida**, dalej monumentalny **Bank of Ghana**, nienaganny architektonicznie **House of Farmers**, solidny **Dom Kakaowy**, i jeszcze parę innych tego typu budowli — to kawałki Europy, powtykane w Afrykę, dopiero cała reszta jest Akrą prawdziwą. Po drugie — nie wolno ulec taksówkarzom, którzy przyzwyczajeni w ciągu lat do prestiżu „białego", posuwać się będą za tobą wolniutko wzdłuż twojej trasy, wykrzykując co pewien czas z odcieniem wyrzutu w głosie: taxi, taxi... Trzeba iść pieszo, chociaż to droga przez mękę... Drogę tę oczywiście odbyłem, przed startem jednak spędziłem czas pewien w Akrze „europejskiej" i czuję się w obowiązku chociaż kilka słów na ten temat powiedzieć.

Kolor i zapach Akry

Przygoda z „Jele". Jak było i co jest z barierami rasowymi? — Europejskość z pozoru. — Cicha zemsta Ghanejczyków. — Akra tubylcza. — Handlowy prym kobiet. — U sekretarek, drapiących się po czarnych stopach. — Mój przyjaciel „Ga" wyjaśnia... —

Teoretycznie rzecz biorąc i dawniej nie ustawiono na tym terenie wyraźnych barier rasowych; nawet za dobrych czasów administracji brytyjskiej w eleganckich hotelach, w barach i na dansingach spotykało się tłum dwukolorowy, w klubach czarni i biali dżentelmeni zajmowali sąsiednie fotele i napawali się lekturą tego samego „Timesa". Ostrożna polityka kolonialna Wielkiej Brytanii opierała się w ostatnich latach na przesłankach realistycznych — doceniano swoistą dumę ludów Złotego Wybrzeża, ich przywiązanie do starych tradycji niepodległościowych, energię, inteligencję. Lepiej już nie drażnić potomków starożytnej i na pół legendarnej Ghany — taką przyjęto linię. Rozdrażnieni mogliby przecież pochopniej niż inni wziąć się do powstania, zaś po ewentualnym zwycięstwie wykazać, że... sami potrafią się rządzić. A to byłoby już zjawiskiem najgorszym z najgorszych!

Teoria nie wykluczała jednak pewnego bojkotu w praktyce. Zdarzało się, że biały spotkawszy na ulicy swego czarnego klubowego kolegę już go tam nie poznawał, że raz i drugi odmówił „tubylcowi" podania ręki, nawet gdy sytuacyjnie wymagał tego obyczaj angielski — słowem pod powierzchnią zasad równości kryła się podszewka pogardy. Spuśćmy jednak zasłonę na to, co działo się kiedyś... Jak jest dzisiaj?

Trudno byłoby mówić o sensu stricto barierach rasowych w wolnej Ghanie, rzecz przecież nie do pomyślenia, ani w teorii, ani w praktyce. Kryterium koloru skóry występuje jednakowoż w innej zupełnie strefie zagadnień — zawodowej. W banku, na poczcie, w nocnym lokalu gospodarzami są wyłącznie Ghanejczycy, biały zaś z reguły jest interesantem, klientem, konsumentem. Idąc do nieznanego ci urzędu XY, z góry możesz wiedzieć, że twoim rozmówcą będzie Ghanejczyk. A zatem sytuacja z lat pięćdziesiątych odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Hasło Nkrumaha, żądającego wtedy „afrykanizacji kadr urzędniczych", przyoblekło kształt rzeczywisty...

Akra „europejska" pozostała więc europejską tylko z pozoru. Kręci się na terenie tych kilku hoteli i kilkunastu urzędów cały tłum białych ludzi, tak jak dawniej jeżdżą niemal wyłącznie luksusowymi wozami, korzystają z klimatyzacji, z usług czarnych pikolaków — za wszystko jednak płacą, płacą słono i w sensie gotówkowym, i w sensie szerszym, politycznym, moralnym, prestiżowym. Ten ostatni haracz dotyczy, oczywiście, tylko tych, którzy w swoim czasie mieli coś wspólnego z kolonializmem. Nie jest bowiem przyjemnie wspominać, że nie tak znowu dawno, bo w latach czterdziestych, pięćdziesiątych, ta wyglansowana, wyasfaltowana, sztucznie chłodzona Akra była własnością białych ludzi. Teraz jest tylko rodzajem poczekalni, gdzie biały przybysz z Europy lub Ameryki przebywa okresowo dla załatwienia różnych spraw, głównie handlowych lub dyplomatycznych, występuje jako kontrahent na zasadzie równości, przyjmowany bywa gościnnie i grzecznie, lecz zgodnie z zasadą „załatw sprawę i żegnaj".

I jeszcze jedna kwestia — którą różnie można rozumieć. Już o nią przed chwilą leciutko potrąciłem wspominając, że biały musi mieć wciąż trzos w pogotowiu.

„**Kolor skóry** — pisze Jan Halpern w niewielkiej acz treściwej książeczce o Ghanie — **determinuje zachowanie się ludzi tutejszych wobec białych — i w tym kierunku działa więc jeszcze hierarchiczna magia białych twarzy**". Tak jest niewątpliwie; białemu „nie wypada" chodzić pieszo, kupować na ulicznych straganach, nie wypada mu robić tysiąca rzeczy... Zgoda — czy jednak na skutek magii białej twarzy. Przedziwnym przypadkiem wszystko, co mu czynić wypada, kosztuje sporo pieniędzy — taksówki, specjalne restauracje... A zatem nie wysoka pozycja białego w hierarchii, lecz coś w rodzaju cichej zemsty, która bywa podwójną rozkoszą, gdy można jeszcze na niej zarobić. Jak gdybym słyszał ten wewnętrzny chichot czarnego, dziś już wolnego człowieka: „Byłeś kiedyś białym panem, puszyłeś się jak paw, odgradzałeś się od nas, jadłeś najlepsze rzeczy i spałeś na najmiększej pościeli — rób to więc dalej, ja nie dopuszczę, abyś miał dzisiaj postępować inaczej!"

Istnieje też oczywiście szeroka płaszczyzna stosunków prywatnych między czarnymi i białymi, a styk ten właśnie ma miejsce na terenie Akry „europejskiej". Nie podejmuję się o tym mówić autorytatywnie, za krótko tam byłem. Są ludzie, którzy twierdzą, że biały spotyka się z reguły z pewną nieufnością, jako ewentualny i potencjalny zwolennik kolonializmu. Nie wykluczone. Na Złotym Wybrzeżu lat powojennych działał przecież przez pewien okres ruch nacjonalistyczny i musiał wywierać wpływ na światopogląd jakiegoś kręgu społeczeństwa, musiał zostawić po sobie ślady, zwłaszcza w umysłach niezbyt wykształconych osobników. Wulgaryzacja dewizy „Afryka dla Afrykanów" może więc dzisiaj dawać się we znaki. Ale są także ludzie, którzy utrzymują, iż — mimo wszystko — przetrwał wśród Ghanejczyków snobizm „na białego": skłonność do chełpienia się przyjaźnią z Europejczykiem czy Amerykaninem, w wypadku zaś czarnych kobiet, manifestowanie jeszcze ściślejszych stosunków z białym... Gdzie leży więc prawda? Najpewniej tu i tam, jako że Afryka jest kontynentem super-skomplikowanym i nie ma powodu aby Akra była akurat inna.

Dość jednak o „białej" Akrze. Czas ruszyć w głąb „czarnej", tubylczej, egzotycznej. Czas ruszyć pieszo, oddaliwszy gestem taksówkarza, który zamiast transparentu o treści religijnej (powszechny zwyczaj wśród kierowców w Ghanie) umieścił na swoim wozie napis krótki i wymowny: „Time is money".

Myli się pan, panie taksówkarzu: dla reporterów — „Walking is money"!

Akra rozwleczona nieznośnie na pasie wybrzeża, w większości składa się z chałup, budek i lepianek, do których konstrukcji użyto najbardziej nieprawdopodobnych materiałów: gliny, dykty, blachy falistej, baniek po benzynie, jaskrawo malowanych płóciennych baldachimów... Ta typowo kolonialna zabudowa Akry — podział na miasto „białe" i „tubylcze" — traci co prawda powoli swój klasyczny, dwugatunkowy, kontrastowy charakter; na peryferiach wyrastają eleganckie wille nieduże, bez szykan luksusu, ani afrykańskie, ani po europejsku modernistyczne. Są one najczęściej własnością ghanejskich plantatorów kakao, owocem ich oszczędności, która to cnota nie jest w Afryce zbyt powszechna. Są takie dzielnice — ale w skromnej jeszcze liczbie. Rozpływają się na razie w morzu owych budek, pośród których nawiguje się z trudem. Iść trzeba środkiem ulicy, ponieważ chodników jeszcze tu nie wymyślono, przeskakiwać przez półmetrowej głębokości rynsztoki i wymijać ludzi spełniających na wolnym powietrzu wszystkie niemal czynności życiowe — od mycia i jedzenia, aż do narad rodzinnych obficie okraszanych plotkami. Posuwanie się naprzód utrudniają dodatkowo skupiska straganów z tandetą w obowiązkowo błyszczących opakowaniach, bądź to sterty ciuchów wprost rzuconych na ziemię. Sprzedaje się wszystko: gotowany ryż, banany smażone w oliwie, kosmetyki, sandały z plastyku „Made in Japan", nawet mocno używane koszule. Prym handlowy dzierżą kobiety, energiczne, samodzielne, bez udziału mężczyzn dokonujące większych i mniejszych operacji finansowych. Islam, który tutaj zyskał stosunkowo mało zwolenników, nie usunął kobiety w cień i nie podporządkował mężczyźnie. Najlepszy dowód, że posiada ona własną kasę i nie musi się z niej przed mężem wyliczać!

Pomiędzy tymi barykadami w postaci straganów przechadza się nieustannie tłum wesoły i na swój sposób elegancki. Mężczyźni we wzorzystych togach, odsłaniających jedno ramię, z fryzurą na przedziałek, z kokieteryjnymi wąsikami. Kobiety w lekkich turbanach z gazy, upiętych nader misternie. Tysiące ludzi, tłok, nieustanne ocieranie się i wymijanie. Ilu ich w sumie jest i... dlaczego? Zwłaszcza to ostatnie pytanie, jakkolwiek niezbyt mądrze brzmiące, domaga się odpowiedzi. Widziałem przed tym niejedną afrykańską wieś; ludzie żyją tam nie gorzej niż w Akrze pod względem materialnego standartu, przestrzeni zaś i piękna natury mają do woli, nie muszą kłębić się beznadziejnie w budach z dykty i blachy...

Danych statystycznych można zaczerpnąć w Biurze Prasowym mieszczącym się w pobliżu portu. Trzeba tylko uruchomić sekretarki, które zrzuciwszy buty na szpilkach z nie przyzwyczajonych do tego nóg, drapią się po czarnych stopach. Według cyfr oficjalnych Ghana liczy obecnie 6 milionów mieszkańców, a sama Akra 350.000. Wziąwszy nawet poprawkę na pewną przesadę w tych cyfrach (młode państwa bardzo lubią się chwalić liczbą swojej ludności) i tak jest to piekielnie dużo, tempo rozrostu stolicy wydaje się wprost zadziwiające. Dlaczego ciągną do Akry — i innych wielkich miast — niby muchy do miodu?

Miałem w Akkrze przyjaciela o bardzo skomplikowanych nazwisku rodowym, którego nazywałem po prostu „Ga", jako, że należał do plemienia o tej nazwie. „Ga" w krótkich słowach podał mi przyczyny owej gwałtownej imigracji. Uwzględniwszy wszystkie proporcje, miałem wrażenie, że słucham wywodu przedstawiciela naszej młodzieży wiejskiej o powodach ucieczki młodych ludzi ze wsi do Warszawy i wojewódzkich miast. W dżungli i buszu łatwiej o maniok i banany — to prawda. Ale w Akrze są kina panoramiczne, są bary o wspaniałych nazwach — „Hollywood", „Arizona" — są stadiony sportowe, można obejrzeć kolorowy western i mecz futbolowy. Poza tym można się przyjrzeć pięknym samochodom i — jeśli na to gotówka pozwoli — bogatym ludziom na dansingu. Tutaj odbywają się parady wojskowe w dniach narodowych świąt. Tutaj są piękne wystawy w magazynie Kingsway. Słowem jest życie, smak cywilizacji, która działa jak magnes. A co w dżungli? Nic. Drzewa i na tym koniec.

Mówił jeszcze długo, ja zaś wywnioskowałem z tego, że u podłoża wielkiej inwazji do miast leży wabiąca mgliście SZANSA. Ciche marzenie o tym, że przy odpowiednim zbiegu okoliczności można samemu dojść do błyszczącego lakierem „Lincolna", własnej willi i tak dalej. Na wsi panuje cisza, a w mieście toczy się wielka gra, w której wygrywa się czasem wielki los.

Jaki procent wygrywa? I co się dzieje z tymi, którym na razie nie udało się wygrać?

MIROSŁAW AŻEMBSKI

Za tydzień drugi reportaż z tego cyklu pt. „**ZANIM ZNIKNĄ W TEMIE CHYBOTLIWE „LELE"**.

Gmach parlamentu republiki Ghany w Akrze

Informacje i zaczepki

Przed paroma tygodniami ukazał się w sprzedaży „Rocznik Łódzki" za rok 1951. Tom poświęcony jest prawie w całości prof. dr Stanisławowi Zajączkowskiemu, który od lat prowadzi badania nad przeszłością naszego regionu.

◆

„Na rusztowaniach pracuje się" — głosi napis przy skrzyżowaniu Andrzeja Struga i Alei Kościuszki. Niestety, roboty od miesięcy przeprowadzane są zapewne metodą konspiracyjną — mało jest bowiem szczęśliwych, którym dane było je zauważyć. A rusztowanie stoi i skutecznie tamuje— ruch.

◆

W blisko 800-tysięcznej Łodzi „działa" 72 kominiarzy.

?!

Czytelników expressowej powieści rysunkowej „Najdziksze serca" dręczy pytanie: kto jest autorem dzieła? — London, Curwood czy Panasewicz? Zagadkę na razie spowija mgła tajemnicy.

◆

W kołach zainteresowanych mówi się, że przewrót w polskiej ortografii planuje Gazownia Miejska. Na gmachu tej to szacownej instytucji ciekawi mogą przeczytać tabliczkę: „Ulica Tówima".

◆

Niedawno odwiedził Łódź dziennikarz brazylijskiej „Tribune" — Mauricio Miclkovsky. Mało kto wie, że rodzice naszego gościa urodzili się i mieszkali w Nowogródku.

„Zabawa w kotka i myszkę w rytmie krakowiaka" — głosi tytuł w jednej z łódzkich gazet. Nie wtajemniczonym zdradzimy, że chodzi o mecz piłkarski.

◆

Pracownice Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. 1 Maja już noszą profilaktyczne obuwie zapobiegające płaskostopiu. Obuwie wykonały dla Łodzi zakłady w Chełmku.

◆

Aż 120 milionów złotych wynosi roczna wartość produkcyjna Łódzkiej Fabryki Cukierków „Optima".

15 łódzkich działaczy kulturalnych otrzymało niedawno nagrody Ministerstwa Kultury i Sztuki. Wśród nagrodzonych znajdują się między innymi literat, naukowiec i dziennikarka.

◆

Przed tygodniem zakończył się w Łodzi XXXIV Zjazd Polskiego Towarzystwa Botanicznego. Warto dodać, że pierwszy powojenny zjazd polskich botaników odbył się również w naszym mieście.

?

Szkoda, że czytelnicy „Dziennika Łódzkiego" tak rzadko mają sposobność czytać interesujące reportaże Barbary Orłowskiej. Autorka przez 8 miesięcy przebywała w Unii Południowo—Afrykańskiej i co ważniejsze umie ciekawie pisać — czemu więc „Dziennik" nie chwyta takiej okazji.

!!!

Na zaproszenie Zarządu Miejskiego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci zwiedziła łódzkie ośrodki wychowawcze i przyblokowe place zabaw delegacja kobiet jugosłowiańskich.

◆

Jedna z łódzkich szkół dla dorosłych zorganizowała dla swych uczniów „przechowalnię" dzieci. Jest to pierwsza tego typu innowacja w kraju.

◆

Łódzki ORS tylko w jednym miesiącu (sierpień) udzielił kredytu wartości ponad 38 milionów.

J.W.

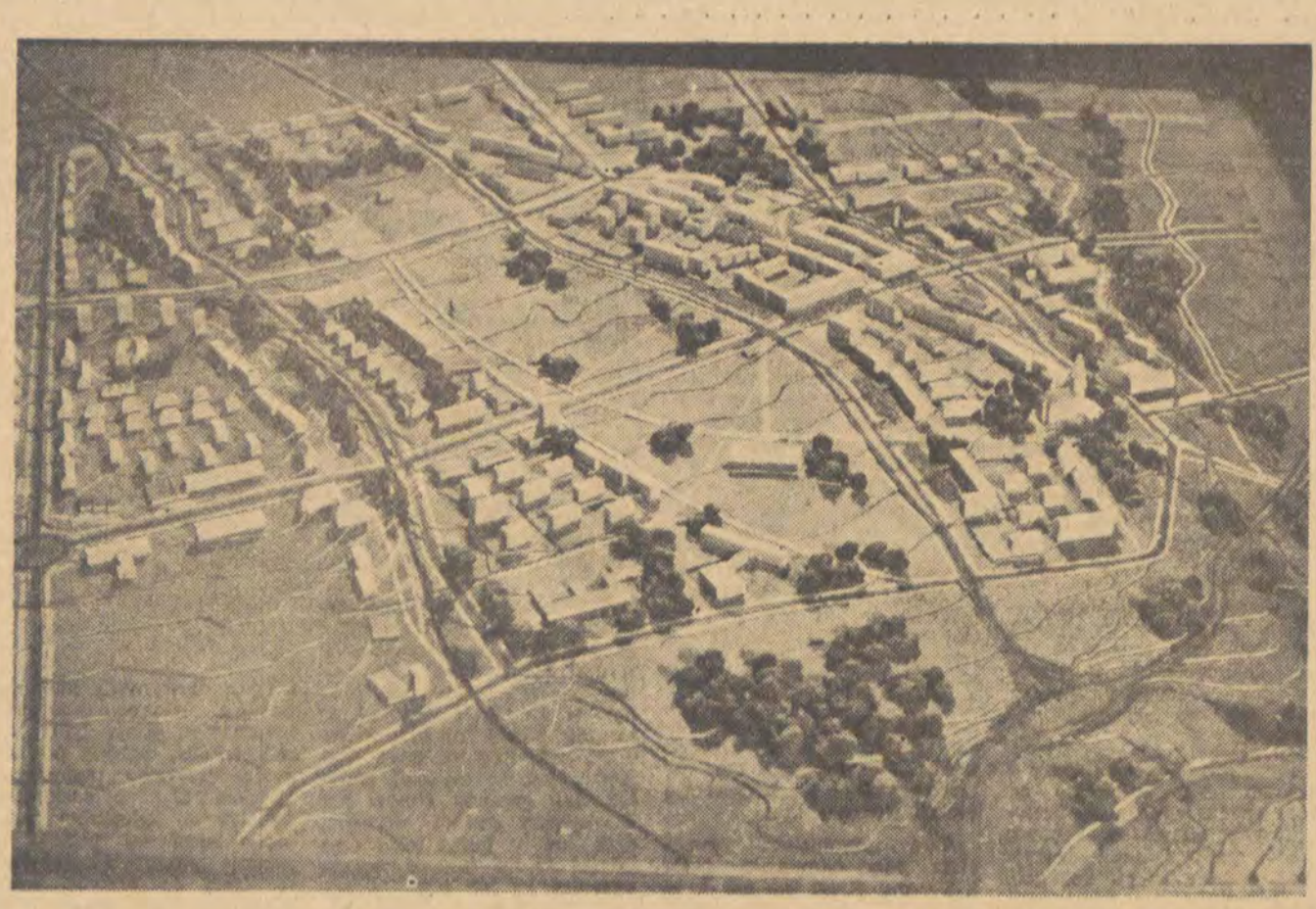

W zimowej stolicy Polski — Zakopanem — prowadzi się od dłuższego czasu roboty przy około 50 obiektach oraz buduje się ponad 100 domków jednorodzinnych. Plan zeszłorocznych inwestycji zamykał się sumą 131 mln złotych. W roku bieżącym — gospodarze miasta przeznaczyli na ten cel około 145 mln złotych. 90 proc. wszystkich bieżących inwestycji związanych jest z przygotowaniami Zakopanego do Narciarskich Mistrzostw Świata w 1962 r.

Na zdjęciu: makieta zabudowy Równi Krupowej z ulicami: Krupówki B. Jagiellońską, Sienkiewicza, Kościuszki, Witkiewicza.

Fot. CAF

List z Zakopanego

KRZYSZTOF POGORZELEC

Zakopane nieczynne z powodu remontu

„Przestało być cudownym dzieckiem, a zaczęło spokojny żywot, bez egzaltacji. Warszawskie damy — pod nieobecność mężów — już nie czytują młodym góralom książ „Pana Tadeusza". Po wyciągniętej jak struna linii Chramcówek śmigają raz po raz samochody. Ale wszystko razem tworzy osobliwą mieszaninę kultury i zacofania. Zwłaszcza estetyka ulic woła o pomstę do zakopiańskiego nieba, a niepokojący ruch budowlany na Krupówkach, operujący cegłą i kamieniem, utrwala na długie lata ten zbiorowy pomnik złego smaku i daje fatalne świadectwo poziomu naszych wymagań. Pod wieloma względami Zakopane przeżywa okres cywilizowanego barbarzyństwa".

Tyle felietonista tygodnika „ŚWIAT" wychodzącego w Warszawie AD 1911 czyli równe pół wieku temu.

Dzisiaj? Raczej tydzień temu. Podobno zawroty mają najczęściej miejsce na Krupówkach. Głowy. Od cen, które twardo dyktują miejscowi „homo zakopiensis" Tej reszcie nie mogących się poszczycić przywilejem urodzenia pod tatrzańskim niebem. Najmniejsze podstrysze ma w sezonie wagę prawdziwego, przepraszam — Made in Mennica Państwowa złota. Dokładnie — 30 złotych za dobę á razy jedno łóżko w dodatku bez pościeli. Jeżeli ty kręcisz nosem — weźmie kto inny. Amatorów jak na razie nie brak!

„Fatalne świadectwo poziomu naszych wymagań"? Na ten temat zdania są podzielone, a graniczna linia wyznacza krańcowo różne pozycje zajmowane przez osobników rodzaju ludzkiego, a sprowadzające się bądź do czynności inkasowania „wyż. wym. kwoty" za udzielenie prawa do urlopowego łoża, względnie — wyjmowanie tych pieniędzy z własnej, bądź żony kieszeni, co i tak na jedno wychodzi.

W ten sposób poinformowałem czytelników ile muszą mieć w swoich portmonetkach „kościuszków", by przynajmniej jedna noc mogli spędzić w Zakopanem. Nie powiedziałem natomiast o dziesięciu innych niespodziankach, które oczekują na ciebie w podtatrzańskiej stolicy Polski. Więc?

MAGICZNE TRZY LITERY

Przede wszystkim — możesz sobie złamać, a już w najlepszym razie gruntownie wykręcić nogę. Tak, oczywiście — na Krupówkach! Jak wiadomo w polskich uzdrowiskach sezon wykopków kanalizacyjno-wodociągowo — elektro-telefonicznych rozpoczyna się równocześnie z przyjazdem do kurortu pierwszego tysiąca urlopowiczów. Ale na takie drobiazgi starałem się nie zwracać specjalnej uwagi i uzbrojony w taternicza line (dla bezpieczeństwa) poszedłem zdobyć malownicze ruiny jeszcze nie ukończonego dworca budowanego dla zakopiańskiej PKS.

Miał być oddany do eksploatacji w grudniu br. 6 tys. m. sześć. kubatury, jednokondygnacyjny budynek w kształcie ściętego krzyża. Biura, kasy, poczekalnie i wielka „wiata" spełniająca rolę krytego peronu. Wszystko — super super nowoczesne.

Dokładnie 3 czerwca o godz 9.00 rano właśnie owa najnowocześniejsza w Zakopanem i okolicy „wiata" rozpadła się tworząc jedno wielkie zwalisko gruzu. Nie ma już dworca.. dopiero co budowanego. Z trzech robotników znajdujących się na budowie — Marian Wójtowicz doznał wstrząsu mózgu i odwieziono go do szpitala. Trudno się dziwić, że nawet górale — ludzie raczej obyci z wszelkiego typu niebezpieczeństwami i kataklizmami, jak mogą to omijają budowy prowadzone przez Przedsiębiorstwo Budownictwa Ogólnego „Podhale".

A jest ich dużo.

— To wszystko przez to, żeśmy sobie do Zakopanego ten FIS kupili — powiadają miejscowi.

I mają chyba rację. To miasto — nie miasto żyje i rozwija się na zasadzie lawiny. Kamyk potrącisz, a całe zbocze na głowę ci się sypie. Nie mówiąc naturalnie o takim wydarzeniu jakim jest FIS czyli Mistrzostwa Narciarskie Świata. To jest powód, dla którego roboty budowlane w Zakopanem nabrały w tej chwili ogromnego rozmachu i tempa, a wystarczy jeżeli powiem, że są one prowadzone na 50 placach. W ubiegłym roku na cele inwestycyjne związane z FIS poszło około 131 mln zł, w roku bieżącym gospodarze miasta przeznaczyli dalsze 145 mln. złociszów. Ładna sumka jak na miasto, które liczy sobie stałych mieszkańców niespełna 24 tysiące!

Zaczęło się od skoczni na Krokwi. W tej chwili jest to po przebudowie czwarta co do wielkości skocznia narciarska na świecie i takie autorytety od „desek" jak sławny Norweg Ruud, czy wynalazca skoczni igielitowych — Niemiec p. Rener, a ostatnio specjalny ekspert i wysłannik do Zakopanego z ramienia FIS — Czechosłowak p. Jerolimek — wyrażają się o nowej Krokwi w samych superlatywach, określając ją mianem najpiękniejszego narciarskiego „ma muta" świata. Ten ostatni jednak z naszych zagranicznych gości nie ukrywał równocześnie obaw co do terminowego ukończenia wszystkich innych towarzyszących tej inwestycji robót.

Miał z pewnością na myśli wielki ośrodek sportowy powstający pod Krokwią. Obok sali gimnastycznej, pomieszczeń treningowych i pokojów hotelowych oraz administracyjnych znajdzie się w nim miejsce dla dwóch dużych basenów pływackich: krytego i otwartego — przy czym ten ostatni będzie miał podgrzewaną wodę, a w sezonie zimowym zostanie nad nim rozciągnięty specjalny „namiot" ze sztucznego tworzywa. Zakopiańczycy i wczasowicze chodzą obok tego zespołu budynków i utrzymują, że mieszka w nich żółw.

NIE SAMYM SPORTEM

Do takiego wniosku doszli ojcowie zimowej stolicy Polski i oprócz terenów oraz urządzeń sportowych postanowili zrobić coś również dla żołądka przybywających do Zakopanego turystów. Będą więc trzy bliźniacze bary samoobsługowe i tak na wszelki przypadek już dziś radzę zapisać sobie ich położenie oraz adresy by w niedalekiej przyszłości móc bez błądzenia zajmować kolejkę po porcje golonki. Pierwszy stanie obok stacji kolejki na Gubałówkę, drugi — przy Rondzie. Trzeci już stoi na ulicy Kościuszki, a czwarty — w planach urbaniści widzą go na Kirach, a więc przy Kościeliskiej. Wszystko to za okrągłą sumę około 6 mln. zł.

Odnotujmy jeszcze inne fakty i projekty: zamianę na panoramiczny ekranu w kinie „Giewont", gruntowny remont sali teatralnej wysłużonego „Morskiego Oka", sala Dom Kultury Związku Górali obliczona na 600 miejsc.

To wszystko dla „ducha"

Przepraszam, jest jeszcze coś dla podtrzymania na duchu tych, którzy wracają z gór w zakopiańską dolinę nie tyle „na tarczy" co po prostu na zwyczajnym ratowniczym toboganie GOPR: szpital na Chramcówkach u zbiegu z ulicą Nowotargską. Kosztować będzie 85 mln. zł, ale 450 pacjentów znajdzie tutaj doskonałe warunki dla kurowania swoich kończyn. W zimowym sezonie w Zakopanem łamie się średnio — z małym bądź większym trzaskiem — około 2 tysiące rąk i nóg. Mam nadzieję, że o odpowiednią ilość ton gipsu też się zatroszczono...

NA MIARĘ... MDM?

Do tego całego kramu chcą jeszcze dodać nowe Krupówki. Dwie jednokierunkowe jezdnie, kompleks mieszkalnych bloków o typie znanych powszechnie z osiedli DBOR, supermarkety, samobary, 5-piętrowe gmaszyska, hotel „Orbisu" na ul. Kościuszki — będzie kosztował 35 milionów. Krupówki A, B i C z olbrzymim domem towarowym, kawiarniami i biurowcami. Oczywiście.

Tylko — co mi to przypomina?

Wiem. Za 2—3 lata łodzianie nie będą potrzebowali spędzać nocy w korytarzu trzęsącego się wagonu PKP, który zdąża do Zakopanego. Na MDM — ten warszawski, nic, że trochę już zakurzony — jest z Łodzi znacznie bliżej...

Remont Zakopanego trwa.

Trwa również alarm dla całego Podhala.

Nie tak dawno w jednym z numerów „Przeglądu Kulturalnego" Władysław Bieńkowski podniósł sprawę poczynań inwestycyjnych, jakie w tej chwili odbywają się w zimowej stolicy Polski. *„Maluczko"* — stwierdza publicysta — *a z Zakopanego jako uzdrowiska właściwie nic nie pozostanie, będziemy mieli na Podhalu jeszcze jedno wydanie typowego miasta zabudowanego potężnymi blokami — wypisz, wymaluj, czynszowe kamienice. Słusznie, że wreszcie ktoś zajął się tym pięknym uzdrowiskiem, ale dlaczego lokujemy miliony złotych w dzieło, które praktycznie oznacza zagładę"*

Ja również patrzę przez czarne okulary. Rozumiem, że Zakopanemu potrzebna jest na FIS nowa narciarska skocznia, wiele nowych placówek gastronomicznych, które będą mogły nakarmić zgłodniałych turystów. Ale ja również chciałbym dołączyć swój głos do wypowiedzi Władysława Bieńkowskiego i zapytać, czy akurat w stolicy polskiego Podhala potrzebne są gigantyczne bloki, do których wprowadza się ludzi mieszkających obecnie na stałe poza Zakopanem! Czy w ten właśnie sposób ma się zamiar poprawić i zwiększyć ilość miejsc, lub łóżek w jednym z największych polskich uzdrowisk? Czy to jest droga wiodąca do otwarcia bram przed turystą krajowym i zagranicznym? Patrząc tak... rozsądnie wypadałoby się chyba zająć w pierwszej kolejności rozsypującymi się pensjonatami, doprowadzeniem ich do stanu europejskiej cywilizacji, tak by mogły one przyjąć ludzi, którzy przywożą do Polski ciężkie dolary.

Niestety, jak na razie nic nie wskazuje na to, by Polak stał się wreszcie mądry przed szkodą...

* * *

Chociaż...

Zresztą — kto wie czy przypadkiem ten „ktoś" nie ma racji. Znowu stanowiska są podzielone jak ludzie: na tych, którzy biorą 800 zł na miesiąc za łóżko od spragnionych zakopiańskiego powietrza i tych, KTÓRZY TĘ SUMĘ MUSZĄ PŁACIĆ!

Struś a sprawa Niemiec

Dalszy ciąg ze str. 2

Przez dwanaście lat struś trzymał głowę w piasku, ale jesień roku 1961, która przyniosła z sobą decyzję rządu radzieckiego i rządów socjalistycznych w sprawie Berlina i traktatu pokojowego z NRD, uczyniły tę pozycję tak karkołomną, że struś musi wyjąć głowę z piasku.

Oto garść cytatów z oświadczeń zachodnich publicystów i polityków z ostatnich kilku dni: „Prezydent Kennedy w wyniku kryzysu berlińskiego i kryzysu przeżywanego przez ONZ dokonuje ponownej oceny polityki zagranicznej USA" (Reston w New York Times").

„...Adenauer i inni politycy zachodnio niemieccy zaczęli niedawno przygotowywać opinię publiczną NRF na zmianę w polityce zagranicznej zachodu czyniąc to przy pomocy enigmatycznych stwierdzeń o „zbliżaniu się rozczarowujących decyzji" (boński korespondent Reutera Shella).

„...Rząd brytyjski — niezależnie od tego czy jego poglądy uległy zmianie, czy też nie, nie sprzeciwia się bezwarunkowo uznaniu de facto Niemiec wschodnich, nie odmawia akceptacji granicy na Odrze i Nysie..."

Ta fala komentarzy wyzwolona został przez słynną już wypowiedź generała Clay'a — specjalnego wysłannika prezydenta Kennedy'ego w Berlinie zachodnim, który na przyjęciu dla około 100 dziennikarzy niemieckich oświadczył ni mniej ni więcej tylko, że istnienie NRD jest faktem, z którym musi się pogodzić. Oficjalne dementi Waszyngtonu jak przemówienie Kennedy'ego w ONZ zdają się tylko potwierdzać fakt, że Clay popełnił świadomą gafę i wypuścił balon próbny w sprawie zmiany amerykańskiej polityki w sprawie Niemiec.

Niemiecka Republika Federalna zachowała się jak zawsze. Prasa zachodnio niemiecka, a także koła republikańskie w USA gwałtownie zaatakowały administrację Kennedy'ego, ale tym razem hamulce okażą się zbyt słabe — struś musi wyciągnąć głowę z piasku i dostrzec istnienie NRD.

Zachodnio-niemiecki dziennik „Neue Rhein Zeitung" przyznaje ze smutkiem: „... Clay przygotował nas na nową linię polityki amerykańskiej w sprawie Niemiec. Od miesięcy wiele znaków wskazuje na możliwość de facto uznania tak zwanej NRD przez Zachód. Rozwój wydarzeń, jak widać wyszedł już poza tezę, że istnieje tylko jedno państwo niemieckie i że państwem tym jest Republika Federalna. Możemy przeciwko temu protestować, możemy ubolewać, możemy dawać jeszcze silniejszy wyraz naszym dążeniom do zjednoczenia naszego narodu — realia jednak, jak się wydaje, mówią coś wręcz przeciwnego".

Sądzę, że można mieć wszelkie powody do ostrożnego optymizmu. Zaczyna się bowiem wyłaniać konstrukcja przyszłych negocjacji w sprawie Niemiec. Wydarzenia ostatnich miesięcy wskazują niewątpliwie na niezwykłą precyzję działania radzieckiej polityki, która prowadzi do likwidacji politycznych fikcji wokół Niemiec, do uznania realiów, a tym samym do stabilizacji, do zmniejszenia ewentualności konfliktów w samym sercu Europy.

JACEK LEBEN

STANISŁAW CZERNIK

POLE GRUNWALDZKIE

Tu? Na tym błoniu?
Siano jesienne, październikowe.
Pachnie w nim piołun.
Siano goryczki, ostu i łopianu,
Zgrabione w hełmiki kopeczek,
W szyszaki szałasików na błoniu.

Pasą się konie,
Skarłowaciałe tarpany.
Nie utuczył się oset i piołun
Na tym błoniu.

Okaleczone swoim końskim smutkiem,
Z kistką goryczki przy wargach,
Z kopytami bez kopyt,
Z grzywami bez grzyw.
Z oczami zaczerwienionymi sianem piołunowym
Chwierutają łachmanami łbów
Na tym błoniu.

W zapomnianym ogródku na skraju,
Przy opuszczonym domku i rozwalonym płocie,
Gruzełkami purpurowych skrzepów, dzikimi jabłuszkami,
Kwaśno pachnie samotna jabłonka.
Tu. Na tym błoniu.

ODPADŁ MI Z CZOŁA

Odpadł mi z czoła listek koniczyny,
Zdawało się — wieczny i szczęsny.
Odpadł zgryziony gruzełkiem cementu,
Wypchnięty poza bruk czaszki.

Tak odpadały rok po roku trawy,
Chwasty i zioła, wrzos i macierzanka,
Pejzaż roślinny pola, łąki, lasu,
A narastała cegła, kostka bruku.

Ale nad czołem trwała wyspa szczęsna,
Czterolistkowa nadzieja.
Dzisiaj odpadła zgryziona przez los,
Dla pełni zjawisk, dla logiki bruku.

JAN HUSZCZA

SZTAUDYNGERA raptularz prowincjonalny

Sztaudynger należy od pewnego czasu, według wszelkiego prawdopodobieństwa, do najpopularniejszych poetów współczesnych. Chociaż jest poetą lirycznym, popularność swoją zawdzięcza fraszkom i gnomom, — piórkom wydawanym w książkach o różnych tytułach, jednak z uwzględnieniem tego właśnie trafnie upatrzonego rzeczownika.

Jak to kiedyś podał prof. Roman Pollak, Kochanowski ogłosił fraszek ok. 300, Kochowski przekazał nam 800, Wacław Potocki w „Ogrodzie fraszek" ma ich około 1800. Ile fraszek napisał i ogłosił Jan Izydor Sztaudynger, na to chyba nikt nie odpowie, wolno nam przypuszczać, że i sam arcypłodny autor.

I w książce tu omawianej (**Jan Izydor Sztaudynger: Łatki na szachownicy; ilustracje i projekt obwoluty: Maja Berezowska; nakładem Wydaw. Łódzkiego**) poeta jakby jeszcze raz definiuje swoje credo:

„Słowa kunsztowne, słowa
piękne bledną
Wobec prostego, które trafia w
sedno".

Oczywiście, jest to credo na ogół niezawodne w wypadku fraszek, rymowanych aforyzmów i porzekadeł czy gnomów. Realizacja natomiast tego nieskomplikowanego programu w poezji lirycznej rozmaite może przynieść rezultaty. Prostota w sztuce, wbrew pozorna, jest pojęciem zdradliwym i różnie da się interpretować, mieści się między dwoma biegunami: prostotą dosłowną i prostotą wyrafinowaną, zdobytą w wyniku przezwyciężenia wszystkich innych sposobów stylistycznych.

A rezultaty? Wiersz otwierający tomik, wiersz autobiograficzny, dostarcza czytelnikowi niewątpliwej satysfakcji. Ale już następny utwór — wiersz o wrześniowym, płonącym Kutnie — demonstruje źle pojmowaną prostotę:

„...Zobaczyłem Kutno
iluminowane
Dziesiątką pożarów.
Wziąłem w siebie ten kwiat
gorejący
I każdy płatek przeżyłem z
osobna..."

Ten przykład świadczy o tym, iż zastosowany w nim sposób stylistyczny nie dźwiga tragicznej treści.

Podobnie dzieje się — ale znacznie rzadziej — w wypadku niejednej fraszki. Tam też mamy do czynienia z prostotą, rozmaicie pojmowaną. Znowu pozwolę sobie na cytaty. Fraszka pt. „Rogi" jest esencją lapidarności, od razu i natrętnie czepia się pamięci czytelnika:

„Aureola
Ramola".

Fraszka poświęcona jednej z łódzkich poetek, brzmi:

„Słuchamy zapatrzeni, patrzymy
zasłuchani,
Bo takie piękne wiersze i takiej
pięknej Ani".

Niby też prostota, ale ze... sztubackiego sztambucha!

O czym innym jednak chciałoby się pisać na marginesie nowego zbioru Sztaudyngera, obfitującego w rzeczy zarówno udane, jak i nieudane. Chciałoby się podkreślić, iż Sztaudynger chętnie bywa poetą lirycznym lub satyrykiem określonej ziemi i określonego czasu, co nie zawsze na przykład zdarza się młodym adeptom Muzy.

Poeta i satyryk atakował z rozmaitym sukcesem tematy poznańskie, wrocławskie, podhalańskie, krakowskie. Nie po raz pierwszy. Zrobił to już w „Piórkach" z 1954 roku, ale ograniczając się do paru zaledwie próbek. W tym natomiast tomie znajdujemy wiele wierszy i fraszek, poświęconych ziemi łódzkiej, jej urokom i zabytkom, jej stolicy.

Nawet niektóre niepowodzenia w wyszukiwaniu, a następnie artystycznym kształtowaniu tych treści dobrze świadczą o ambicjach i żywotności pisarza. Łódź bowiem współczesna ciągle jeszcze jest dla prozaików i poetów tematem trudnym. Z wielu względów. Jeden z tych względów doskonale ujmuje właśnie fraszka Sztaudyngera:

„Z tym pewnikiem się uporaj:
Prehistorią tu jest wczoraj".

Satyryk w tym mieście porusza się ostrożnie, stąpa niepewnie, rozgląda się niezbyt dokładnie. Ludzie tutejsi nie zawsze mają wyraźne kontury, rzadko są „publiczną własnością"; liczne zjawiska tego miasta dopiero się kształtują: w klimacie miasta — chciałoby się powiedzieć — jest zbyt mało przyjaźni lub choćby wymuszonego zrozumienia dla dosadniejszych sformułowań. (Wie się o tym co nie co!)

Wielu z nas zna „Krakowskie piórka" (1958) Sztaudyngera. Ostre, cięte, dokuczliwe — atakujące personalnie lub też ujmujące różne przejawy życia w sposób syntetyczny...

Hej, co by to było, gdyby w książce znalazło się więcej „piórek łódzkich" o takim właśnie napięciu!

Należy się jednak wdzięczność poecie i fraszkopisowi za podarowane nam w omawianej książce utwory o Łodzi i ziemi łódzkiej. Stanowią one w licznych wypadkach dobre precedensy.

I dlatego próbę wydobycia z książki tych momentów, które w tytule tych uwag określiłem jako „raptularz prowincjonalny" — proszę ocenić jako wyraźny komplement i uznanie dla Jana Izydora Sztaudyngera.

Chcemy przecież w tak dużym mieście mieć nie tylko własną martyrologię i mitologię, ale i własną „regionalną" satyrę.

Vivant sequentes!!!

JADWIGA KRAWCZYK

PISZĘ CO MYŚLĘ

Jestem absolwentką zawodowej szkoły średniej. Technikiem. Kolega z mojej klasy, zdawał w tym roku na wiókiennictwo. Egzamin zdał świetnie. Usłyszał wtedy, że absolwenci owego technikum umieją bardzo mało.

Dostałam się na Wydział Filologiczny UŁ. Zdałam równie dobrze. Dziwiono się moim wiadomościom. Technik?

Szkoły techniczne mają więc swoją tradycję, którą chlubić się nie mogą. Doskonale pamiętam, jak automatycznie obniżał się szacunek w stosunku do mnie, gdy grupa rówieśników dowiadywała się o tym, iż uczę się w szkole zawodowej. To samo przy egzaminie wstępnym na UŁ. Aż było przykro patrzeć na zdziwione twarze zdających, wyraźnie stwierdzające beznadziejność mojej sytuacji. W końcu wstydziłam się przyznać, że ukończyłam szkołę przemysłową.

Niestety, słuszność — jak dotychczas — po tamtej stronie. Znam doskonale środowisko techniczne i nie mogę zaprzeczyć twierdzeniu, że istnieje tam zupełna obojętność wobec sztuki, czy literatury. W pewnej mierze wrażliwość na te sprawy mogłyby wyrobić przedmioty humanistyczne. Ale cóż może zrobić najinteligentniejszy nawet polonista, jeśli w klasie maturalnej ma 3 × 45 minut, minus czas na prace klasowe i odpytywanie. Poza tym, jeżeli już mowa o polonistach, którym osobiście wiele zawdzięczam, z przykrością stwierdzam, iż są zupełnie bezradni. Przecież wiedzą o bardzo niskim poziomie humanistycznym „inteligencji technicznej" i o tym, że klasówkę „zrzynają" z rozmaitych bryków. Profesor powiedział mi, że z całej klasy na kiepską maturę zasłużyło najwyżej 17 osób. Stan ogólny klasy — 22 osoby. Warto też wspomnieć, o lekceważeniu tego przedmiotu przez uczniów. Ale czy można dziwić się uczniowi, jeżeli profesorka od matematyki z właściwą sobie swobodą oświadczyła, pokiwawszy smętnie głową, że na polskim zawsze się nudziła, a jej wypracowania były zwykłym laniem wody? Wyraźnie widziało się niezgodę między „gwardiami". I to jest zrozumiałe. Przedmiotów zawodowych uczą ludzie, którzy o metodyce nauczania i wychowania mają dość mgliste pojęcie, zaś humaniści traktowani są przez nich jako ludzie z lekkim „hysiem" na punkcie swoich przedmiotów. A uczniowie korzystali z tego. Na lekcji matematyki żalili się na polski, szczególnie na lektury, na polskim odwrotnie. Lecz nie o to chodzi. Trudno wymagać, aby uczeń szkoły technicznej znał się na literaturze, muzyce i teatrze. Jeśli już znajdzie się taki wyjątek, to lekkiego życia w klasie nie ma. Woli udawać, że nic nie wie, niż narażać się na śmiech, i drobne podlostki. Przykład? Niezwykle inteligentna dziewczyna, Anna, moja przyjaciółka, przed maturą bliska była załamania psychicznego. Dlaczego? Złość, a może zazdrość o jej mądrość życiową, o wiedzę, którą posiadała, maskowana była (i to źle!) wrodzonym wstrętem do rzekomo fałszywych ludzi. Anna miała rude włosy (!).

Uważam i na pewno nie jestem odosobniona w tym przekonaniu, że jeżeli już nie można być człowiekiem o wszechstronnych zainteresowaniach, to powinniśmy być przynajmniej dobrymi technikami. Jak więc tłumaczyć skargi zakładów pracy na naszych absolwentów? Nie są przygotowani ani do pracy w biurze, ani w produkcji. Szkoła przecież gorliwie wprowadzała postulaty politechnizacji w życie. Może nawet nadto gorliwie. Czym na przykład wytłumaczyć praktyki miesięczne w zakładach pracy, jeżeli nie dążeniem do związania ucznia z zakładem pracy i praktycznego poznania wielu maszyn, jakich w warsztatach szkolnych nie ma? Dążeniem do pogłębienia wiadomości ucznia, do zapoznania go z innym podwórkiem fabrycznym niż przywykł w obrębie szkoły. W tym celu co roku szkoła wysyła po kilku uczniów do poszczególnych zakładów pracy.

W ostatnim roku byliśmy na praktyce w Zakładach Przemysłu Pończoszniczego. Ogromne przedsiębiorstwo. Z Biura Głównego przyszedł inżynier, szalenie sympatyczny, młody człowiek. Przekazał nam wstępne wiadomości o przebiegu praktyk, zapoznał nas z rozkładem sal produkcyjnych, w kilku słowach omówił ogólnie nowoczesne, angielskie maszyny „Textima", zadał pracę pisemną i ustną. Jak sobie przypominam: schemat kinematyczny napędu stabilizatora przędzy steelonowej. Postaliśmy chwilę przy maszynie, popatrzyliśmy, najzdolniejszy chłopak narysował schemat i opisał go; reszcie poszło łatwiutko. Parę kresek — koniec pracy.

Przez pierwsze dni obeszliśmy cały zakład, porozmawialiśmy z majstrami, popisaliśmy trochę i robota się skończyła.

Zamierzenia naszego opiekuna leżały w sferze fantazji. Dzienniki zajęć wypełniało się po to, aby coś tam było napisane, słowa bez pokrycia, albowiem wizyty w salach fabrycznych należały do rzadkości. Jeden z chłopców, przystojny, kędzierzawy blondyn, miał „nosa". I w chwili, gdy opiekun wkraczał na teren fabryki, jego podopieczni zajęci byli zawsze zażartą dyskusją przy maszynie o takim czy innym mechanizmie. Zajmowaliśmy inżyniera pytając o wiele rzeczy związanych z ową praktyką. Odpowiedzi były wyczerpujące; potem szliśmy do naszego zaciszne gabineciku, gdzie na stoliku stał niezbędny nam telefon, a na parapecie doniczki z kwiatkami. Na dół nie było po co schodzić; do maszyny się nie dotknij, gdyż zepsujesz, a robotnik pracował na akord zwykły; z boku stań, a usłyszysz dowcipy (niezmiernie żałuję, iż ich nie przytoczę), „nie z tej ziemi". Jednostki słabsze ulegały tym wpływom i w zaciszne gabinecie dwie praktykantki rumieniły się ze wstydu. Potem każdy pogrążał się w błogim dla siebie zajęciu, no i wybijała szesnasta — koniec dnia. Następnego dnia to samo. Odbyło się na zakończenie kolokwium i z żalem opuściliśmy ukochany zakład. Przy egzaminie asystował przedstawiciel zakładu i szkoły, ale nikt nie musiał się rumienić, gdyż teorię mieliśmy opanowaną. Szkoda, że oceny z praktyk (?) rzadko były honorowane w szkole, ale już trudno. Potem pełni miłych wrażeń wracaliśmy do budy. Zadowoleni z wolnego miesiąca „byczo było", no i z tego, że kiwnęliśmy starszych.

Jak wyglądał „dzień jak co dzień" na praktykach? Przytaczam fragment z prowadzonego przeze mnie pamiętnika.

Łódź, w maju 1960 r.

„Znów mi zleciał jeden dzień. Cudowny! Wreszcie skończyłam „Burzę" Erenburga. Co się stało ciekawego? Wiktor zarobił sobie na papierosy, wygrał. Innym karta nie szła. Współczuję. I bez kart chłopak ma szczęście. Już wchodził sekretarz POP, kiedy W. zgasił papierosa o poręcz krzesła. W naszym pokoju zainstalowany jest telefon, więc porozmawiałyśmy sobie ze znajomymi. Dzięki temu cudownemu wynalazkowi spędziłam miły wieczór w „Akademickiej". Grali w te przeklęte karciska ze trzy godziny. To znaczy czterej chłopcy, my jako baby nie liczymy się. Dlatego też na zwróconą uwagę W. z miejsca zrymowałam:

— Zamknij mordę, bo cię pie...; resztę można dośpiewać. Byłam pełna podziwu dla jego poetyckich zdolności. Głowa mnie rozbolała, tak dym gryzł w oczy. Wołałam się nie odzywać. W końcu znudziła się karciana rozrywka, no i dwaj panowie W. zabrali się do Janeczki i do mnie. W końcu dali spokój stwierdziwszy, iż nie ma warunków, i mamy fiola (podobno dziewczęta są inne?). Na dół nie było po co schodzić, gdyż pracowali tam sami mężczyźni i okiem pana i władcy oceniali nasze nóżki i biuściki.

Byłyśmy wściekłe; ona niemalże płakała, ja pogwizdywałam sobie stojąc przy oknie. Wreszcie zabrali się do matmy. Mają zdawać. Kazik wykłada świetnie, szkoda tylko, że bimba sobie wszystkich. Nawet profesorów. Nie było co robić. Nudziło się cholernie. Dzisiaj wydawało mi się, że pójdę, powiem komuś o tych historiach, ale ogarnął mnie zwykły, ludzki strach. Boję się tych chłopaków. Zresztą i profesorowie zwrócą się przeciwko mnie. „Mój" zakład nie był wyjątkiem. W jednym — największą rozrywkę stanowiło wyjadanie owoców instruktorowi, w innych, ale to już w zupełnie innej branży przemysłowej, chłopcy przynosili alkohol w termosach. Kolega wrócił z praktyki w Bielawie i powiedział: — Jadwiga, to naprawdę skandal, codziennie urządzaliśmy sobie wycieczki, a oni nic na to.

Smutne, prawda? Jeszcze wiele jest do naprawienia. Trzeba dotknąć bolesnych miejsc szkół zawodowych w walce o dobrą tradycję, o to, by określenie „inteligent techniczny" nie było dla wielu dobrą zabawą i o to, aby żaden z absolwentów nie musiał się rumienić przy przykrych, ale prawdziwych słowach o szkole, którą kończył, żebyśmy właśnie byli z niej dumni.

Zginął pamiątkowy ALBUM oprawny w skórę, a zawierający zdjęcia Kalisza. Album dedykowany był ROMANOWI VOITOWI i stanowił dlań cenną pamiątkę! Jedną z nielicznych ocalałych po wojnie. Niżej podpisany prosi obecnego posiadacza ALBUMU o odesłanie go na adres TEATRU NOWEGO W ŁODZI.

MIECZYSŁAW VOIT

odgłosy nr. 7

Dalszy ciąg ze str. 1

lat zdołała się wzajemnie poznać, przyzwyczaić, wytworzyć swoje własne niepisane prawa, normy i zwyczaje, nie wybiegające zresztą poza ogólnie przyjęte tradycje szkolne.

Dziewczęta zbliżają się do matury. Matura jest progiem, za którym czekają: dojrzałość i samodzielność, potwierdzone formalnie okrągłą pieczęcią szkoły. Czy te dziewczęta posiadają świadomość wieloznaczności takich pojęć jak „dojrzałość" czy „samodzielność"? Co sądzą o świecie dorosłych, którego uprawnionymi członkami niedługo się staną?" *...Człowiek dorosły nie powinien być chodzącą powagą. Natomiast powinien być doskonale rozumiejącym młodzież, powinien współpracować z nią, pomagać w kłopotach. Często dorośli zapominają, że kiedyś sami byli młodymi, lekceważą tych „niedorosłych". Najbardziej denerwuje mnie narzucanie poglądów"... „powinien być wykształcony, co najmniej matura..." „...powinien mieć jakiś cel w życiu, jakąś ideę, powinien dążyć do jej konsekwentnego spełnienia..."*

Są to fragmenty niektórych wypowiedzi na jedno z 13 pytań anonimowej ankietki, którą rozpisałam wśród uczennic XIa; wiek 16 do 19; 17 dziewcząt pochodzenia robotniczego, 2 — chłopskiego, 5 — inteligenckiego. Pytanie brzmiało: *„Jaki powinien być człowiek dorosły?"*

Otrzymane odpowiedzi nie dadzą się sprowadzić pod wspólny mianownik, pod tak często przypisywaną młodym — pustkę frazeologiczną czy „intelektualną". Dziewczęta uderzają świadomie sprecyzowanymi sądami. Prowadzą atak ukryty za parawanikiem sformułowania — „powinien być" — ale nie jest. Sumując długi szereg przymiotników szczegółowych, otrzymamy idealny model człowieka dorosłego, od którego każdy przeciętny znajduje się w bezpiecznej odległości. Lecz siedemnastolatki nie te odchylenia mają na uwadze, mówiąc: *„Ludzie dorośli tak często nas krytykują, bez wnikania w przyczyny naszych wad. Ale przecież i oni mają swoje wady. Skąd więc u nich ta pewność siebie, że są również zawsze bez błędu?"*

Wyrzut pod adresem dorosłych występuje w 24 odpowiedziach. Siedemnastolatki to boli — ponieważ godzi w ich osobiste ambicje — nietolerancja i bezwzględność: *„milcz i rób co ci każę".*

„Człowieka dorosłego powinna cechować duża stanowczość połączona z mądrym zrozumieniem". Dziewczęta domagają się zrozumienia, a nie pobłażliwości. A zatem czy mamy tu konflikt młodego i starego pokolenia zdeterminowany społecznie, bez mała — prawo socjologiczne, którego nie można zlikwidować?

Całkowite zaprzeczenie istnienia konfliktu byłoby fałszem, jak również fałszem są tłumaczenia negatywów młodych wyłącznie przez ten właśnie konflikt młodych ze starymi. Zresztą, powoływać się na konflikt znaczy tyle co twierdzić, że nic się zrobić nie da. Po prostu od Adama i Ewy aż do socjalizmu młodzi walczą ze starymi, tak musi być. Jestem innego zdania. To, że siedemnastolatki krytycznie ustosunkowały się do dorosłych stanowi wynik ich obserwacji, porównań, szeregu czynników psychicznych jak emocjonalność, egzaltacja czy wreszcie brak doświadczenia. A to, że krytykują świadczy na ich korzyść. — Myślą. Starają się zrozumieć. Spontaniczna forma buntu wobec dorosłych nie znaczy na przykład, że nienawidzą rodziców. Taki stan byłby wyjątkowo niebezpieczny. Emocjonalne odruchy nie posiadają cech długotrwałości, umierają wraz z rozwagą, a tej się można nauczyć — lub: można nauczyć. Konflikt z powodu kolorowych pończoch jest tylko przejściowym nieporozumieniem pomiędzy zachciankami siedemnastolatki a poglądami jej rodziców na modę.

Jednak w miejscu gdzie młody człowiek pisze: *„lekceważą niedorosłych"*... *„narzucają poglądy"* — zaczyna

Czy chcesz już być dorosłą?

się jakiś konflikt, czy na pewno nierozwiązalny?

„...Każdy człowiek powinien postępować tak jak uważa, że jest słuszne... nie powinno być żadnych reguł, one tylko powodują, że ludzie postępują inaczej niż uważają, robią często innym na przekór".

W odpowiedzi na pytanie: *„Co dla ciebie oznacza słowo moralność?"* dziewczyna odkrywa przy okazji prawdę słowa „obłuda". Czyżby na podstawie jej osobistych kontaktów z dorosłymi? Chyba tak. Jeżeli więc kłamie, gdyż dorośli dookoła niej kłamią, i jeżeli robi na przekór — trudno mówić o jednostronności konfliktu.

„— Moralność? To granice przyzwoitości niezbyt daleko posunięte..." — „Moralność dla mnie nic nie oznacza. Nie uznaję (nie znoszę!) tego słowa. Nigdy w życiu nie będę kierować się tzw. moralnością! Jest to bardzo przestarzały pogląd i nieaktualny. Istniał w dawnych czasach i to źle pojęty".

A więc atak, zaprawiony goryczą siedemnastoletniej dziewczyny pozbawionej naiwności spojrzenia. Zbuntowana dziewczyna spontanicznie wygłasza swoje veto. Ale czy jest to koniecznie atak na starszych?

„Jakim prawem ludzie mówią: on jest niemoralny? Przecież właściwie nie wiedzą, jakie kierują nim pobudki, co skłania go do zachowania, które potępiają..."

Dziewczęta znajdują się w opozycji przeciwko pojęciu „moralność", ponieważ postulat *„Człowiek dorosły powinien RZECZYWIŚCIE* (podkreślenie uczennicy) *być wzorem dla niedoświadczonych „niedorosłych"* — okazuje się często teoretyczny. Mechanizm wytworzenia się pojęcia moralności u młodych jest skomplikowany, powstaje w rezultacie obserwacji zachowań dorosłych. I doprawdy czasem wystarczy „rozumnie pomóc", gdyż egzaltowany protest nie oznacza amoralności, egzaltacja jest okresem przejściowym dla większości siedemnastolatek i są sposoby, aby ten okres skrócić. Nigdy jednak potępienie nie będzie pomocą. Właśnie o wyrozumiałość chodzi — tak często wymienianą w ankietach, kiedy mowa o wzorcu człowieka dorosłego. Młodzieńcza egzaltacja szuka porozumienia, ale nie toleruje bezwzględnej, nie znoszącej sprzeciwu ingerencji. Konflikt młodzi — starzy nie jest więc metafizyczny, można go uniknąć lub przynajmniej złagodzić, rzecz nie w różnicy zdań, ale we wzajemnych stosunkach między pokoleniami.

Utarte przekonanie głosi, że młodzi chcą jak najprędzej zostać dorosłymi. Tymczasem na pytanie — *„Czy chcesz być już dorosłą?"* — większość dziewcząt zaprzeczyła. Cztery odpowiedzi za dorosłością powodowane są pragnieniem uniezależnienia się materialnie od rodziców. Reszta zdecydowanie mówi — nie.

Dlaczego?

Działa tu przede wszystkim obawa, którą dyktuje z jednej strony egoizm, (broń Boże — nie społeczny!) zaś z drugiej strony rozumienie odpowiedzialności z jaką trzeba się liczyć rozpoczynając samodzielny tryb życia. Objaw typowy dla wieku, wychodzącego na spotkanie tej samodzielności — prawdziwy psychologicznie i normalny psychologicznie.

„17 lat! — cudowny wiek! Nie ma się tych wszystkich okropnych kłopotów na głowie..." *"Nie chcę być dorosłą, ponieważ zdaję sobie sprawę, że człowiekowi dorosłemu jest żyć bardzo trudno; obowiązki zwykłe i moralne — to ciężar; nie jestem pewna, czy potrafiłabym im sprostać..."*

Tak, egoizm, lecz nie ten z gatunku bezmyślnych. Całe klasyczne wychowanie nie stosuje przeciwko niemu skutecznego antidotum, ani go nie zwalcza, wprost przeciwnie — rozwija i umacnia. Proszę się nie zżymać. Dziecko w rodzinie stanowi oś centralną kłopotów i zainteresowań, na nim ześrodkowuje się uwaga domu, wpaja się weń systematycznie przeświadczenie, że co najlepsze — dla niego. Rodzice mówią, że „młodość ma swoje prawa", a system wychowania potocznie nazywają „poświęceniem się dla dobra dziecka". Egoizm młodych przechodzi w nawyk. Potem następuje zaskoczenie: „Matko święta, co to z niego rośnie! Toż ono myśli tylko o sobie..."

W XXV Liceum w klasach są krzesła stare i nowe. Krzesło przeznaczone dla nauczyciela jest ZAWSZE zniszczone. Uczniowie zamieniają krzesło nie przez świadomą złośliwość, lecz według zasady — lepsze dla mnie... Jeżeli matka w domu daje mi największy kotlet na obiad, dlaczego mam siedzieć na gorszym krześle? — takim torem mogłaby przebiegać usprawiedliwiająca argumentacja.

Siedemnastolatki nie szukają półśrodków na przedłużenie żywota dla swojego egoizmu. *„Dopiero po ukończonych studiach, tzn. gdy będę niezależna materialnie — będę mogła pozwolić sobie na całkowitą niezależność, a sądzę, że i rozsądna na tyle, aby o sobie mądrze decydować... przedtem muszę nauczyć się tylu rzeczy, aby żyć dobrze; boję się... czy potrafię? „Dorosłość jest kuszącą, ale tak trudno być prawdziwie dobrze i rozsądnie dorosłym..." „Nie chcę być dorosłą... na sposób innych dorosłych. Ci, których znam lub spotykam wcale nie umieją żyć poprawnie..."*

Siedemnastolatki chcą żyć „dobrze" to w tym wypadku nie trąci sloganem, chcą żyć dobrze, ponieważ widzą, że dorośli nie żyją poprawnie. Doceniają trudności, na które narażona jest dorosłość, i tu — egoistyczna obawa przed wykonywaniem obowiązków posiada pozytywny, odwrotny medal — lęk: czy aby potrafią żyć „dobrze"?

24 uczennice wybierają się na wyższe studia. Tak to wynika z odpowiedzi na pytanie: *„O jakim zawodzie dla siebie marzysz i czy osiągnięcie jego uważasz za realne?* 3 osoby zamierzają zostać nauczycielkami, 8 — wybiera zawód chemika, 3 — farmację, 2 — lekarza, 1 — inżyniera, 3 — archeologa, 1 — psychologa, 1 — socjologa, 1 — „badacza-naukowca", 1 — speakerki radiowej, za nierealne uważa swoje plany łącznie 5, 2 — przy zawodzie lekarza, 2 przy zawodzie chemika, 1 — nauczycielki, przy czym w tym ostatnim podany został powód: *„rodzice chcą, żebym była lekarzem — konkretny zawód — tak powiadają".*

Te małe „dane statystyczne" na pewno ulegną w praktyce zmianom, jednak stanowią objaw ze wszech miar pozytywny. Po pierwsze świadczą o zróżnicowaniu upodobań i uzdolnień, co z kolei przemawia za zanikaniem zjawiska „owczego pędu" w wyborze kierunku studiów, a więc, dokonuje się on pod wpływem prawdziwych zainteresowań, jest świadomy, tym bardziej, że osiągnięcie jego jest uważane za realne, po drugie — kontynuacja nauki nie wynika ze snobizmu (brak zawodów uznanych za prestiżowe i intratne: lekarzy, adwokatów, itp), ale z potrzeby.

Klasa żeńska XIa jest przeciętną klasą, z przeciętnej szkoły, 24 siedemnastoletnie dziewczęta, jak wykazała ankieta — nie wykazują skłonności patologicznych. Małą grupą rządzą normalne zwyczaje, a i odchylenia od nich również nie straszą widmem choroby społecznej.

Przeciętna dobra szkoła. Dyrektor karze pojedyńcze wybryki indywidualnie, nie pociąga za jednego do odpowiedzialności 500 uczniów. Ukarany zostaje ten, który zawinił. Nikomu z nauczycieli nie przychodzi na myśl powiedzieć, że skoro Kowalski z Nowakiem wybili szyby to cała młodzież jest zła. Dlaczego więc obciąża się odpowiedzialnością za czyny jednostek ogół młodzieży?

Myślę, że pisanie na podstawie małej próbki o całości młodzieży, to niedobra zabawa w uogólnianie. I ja nie chcę wobec tego uogólniać. Chłopi mówią o takich manipulacjach publicystki: z igły widły, z osła wesz, ja nie wierzę, ty nie wierz.

EWA OSTROWSKA

TAJEMNICA i PRZESĄD

Dalszy ciąg ze str. 1

tajemnic, nad których rozwiązaniem biedzi się mozolnie myśl ludzka. Na rezultaty jej dociekań trzeba nieraz czekać długie lata, a nawet wieki.

Tymczasem ciekawość ludzka jest niecierpliwa. Żąda natychmiastowych. Nie cierpi zwłoki. I najczęściej zadowala się odpowiedzią byle jaką — nawet z gruntu fałszywą, byle doraźną i efektowną. I tak oto rodzą się wszelakiego rodzaju domniemania, przesądy, szarlataństwa i taumaturgie. Czy należy je zwalczać i tępić? Oczywiście należy, ale trzeba to robić rozumnie. Inaczej zbytnim pośpiechem i bezwzględnością więcej można spowodować szkody, niż pożytku.

Na przykład, gdybyśmy zechcieli ludom pierwotnym zakazać od razu wiary w totemy, amulety, gusła i czary, a nie stopniowo przygotowywać ich świadomość i wyobraźnię do nowych pojęć i wyobrażeń o świecie, zbliżonych do prawdy, nie tylko nie oddalilibyśmy ich od przesądu, ćmącego ich umysły, ale jeszcze bardziej utwierdzili ich w ciemnocie i grubej niewiedzy. A przy tym zatracilibyśmy i zagubili bezpowrotnie część wiedzy ludzkiej, szczątkową iskierkę istoty rzeczy, jaka się kryje w jądrze każdego przesądu, w grubej otoczce niewiedzy. Na przykład, przez długie wieki pleśń uchodziła za coś szkodliwego, przeciwnego życiu, a w literaturze stała się symbolem rozkładu i gnicia, a więc czegoś przejściowego w drodze do nicości. Tymczasem w naszych czasach w trakcie badań nad tąże pleśnią narodziła się penicylina, cudowny lek właśnie przeciw rozkładowi i zgniliźnie! Gdyby więc walczono z pleśnią nierozumnie i bezwzględnie, starłszy ją, że tak powiem patetycznie, z oblicza ziemi, zrobiono by więcej szkody, niż pożytku, bo pozbawiono by świat cudownego leku. Sokratesa, jak już teraz wiadomo, otruto nie cykutą czyli szalejem jadowitym (cicuta virosa), lecz pospolitym u nas w przydrożnych rowach i wśród rumowisk szczwołem czyli pietrasznikiem (conium maculatum). Gdyby tak miłośnicy Sokratesa w szlachetnym, lecz nierozważnym porywie oburzenia wytracili z oblicza ziemi tę trującą roślinę — uczyniliby więcej szkody, niż pożytku. Wiadomo bowiem, jak wielką rolę w medycynie współczesnej grają właśnie wszelkiego rodzaju trucizny i jady, zarówno roślinne jak gadzie, płazie i owadzie. Dlatego rośliny, grzyby i pleśnie trujące, jadowite żmije i węże, śmiercionośne skorpiony i skolopendry nie tyle tępić bezwzględnie należy, ile ograniczać ich możliwości szkodzenia ludziom do zera czyli podporządkowywać pożytecznym celom naukowym ich złowrogie właściwości.

Podobnie jest z przesądami, gusłami i znachorstwem. Owszem, należy je zwalczać, ale nie porywczo, lecz z rozwagą, badając skrupulatnie, jakie ziarno wiedzy o człowieku kryje się pod ich grubą powłoką, jaka prawda prześwituje z ich dna. Z badań nad znachorstwem i guślarstwem, na przykład, narodziło się nowoczesne ziołolecznictwo, tak przecież poszerzające zakres skutecznych środków profilaktycznych i medykamentów współczesnej medycyny, a z badań nad przesądami ludzi nie tylko dzikich urosło bogactwo współczesnej o człowieku wiedzy zarówno socjologicznej jak i psychiatrycznej. Jest to metoda dochodzenia do pozytywu poprzez negatyw. O azjatyckim szamaństwie, na przykład, jako specjalnym przedmiocie badań naukowych nasłuchałem się wiele i nieprawdopodobnych wprost rzeczy od mongolskiego uczonego światowej sławy, poza tym poety i tłumacza „Pana Tadeusza", prof. Rinczena z Ułan Bator, którego poznałem przed kilku laty w Budapeszcie. W ciągu miesiąca zwiedzaliśmy razem niemal całe Węgry. Nie było dnia, żeby prof. Rinczen podczas wspólnych posiłków i wieczornych pogawędek nie wracał myślą do osobliwości swego dalekiego kraju. Ze szczególną pasją opowiadał o niezbadanych dotychczas jeszcze dostatecznie tajemnicach szamanizmu. O zdumiewającym ogromie wiedzy zarówno psychologicznej, jak i medycznej kryjącej się w praktykach szamanów.

Na przykład w terapii chirurgicznej biegłe i skuteczne praktyki szamańskie przechodzą o wiele współczesne rezultaty medycyny europejskiej. Złożyła się na to cała wielotysiącoletnia wiedza i doświadczenie ludów azjatyckich, z których nauka europejska długo jeszcze będzie i musi korzystać, aby osiągnąć pełnię uniwersalnej skuteczności. Bo i w różnych dziedzinach samej wiedzy europejskiej ileż jeszcze tajemnic? Aby nie stały się źródłem szamańskich przesądów, lecz racjonalnie pożytecznych praktyk, trzeba pracować nad ich rozwiązaniem.

Oto niektóre z nich. Jak wytłumaczyć, że samice niektórych owadów, nie pobierając żadnego pokarmu, potrafią znieść tyle jaj, że ich ogólna waga przerasta kilkakrotnie wagę ich samych? Jak wytłumaczyć, że suma energii pewnych składników jest mniejsza od tworzących tę sumę składników? Jak wytłumaczyć fakt, który opowiada słynny pisarz i lotnik francuski, Antoine de Saint-Exupery, że na skalistej z rzadka porosłej wątłymi krzaczkami pustyni afrykańskiej żyje pewien gatunek lisa, fenek, żywiący się wyłącznie drobnymi ślimaczkami, ale w ten sposób, że nie zatrzymuje się przy wszystkich krzaczkach, lecz tylko przy niektórych i żadnego krzaczka nie objada z tych ślimaczków bez reszty. „Gdyby fenek — czytamy — zaspokajał głód przy pierwszym krzaczku, ogołociłby go całkowicie po paru posiłkach. I tak krzaczek po krzaczku zniszczyłby całą swoją hodowlę. Ale zwierzątko dba o to, by nie zahamować procesu rozmnażania się ślimaczków. Nie tylko po jeden posiłek idzie do stu brązowych kępek, ale nie zjada nigdy dwóch ślimaczków sąsiadujących ze sobą na tej samej gałązce. Gdyby najadał się nie zachowując ostrożności, nie byłoby niebawem ślimaków, a więc nie byłoby także lisków". Skąd ten lisek nabył tej przezornej świadomości, równej niemal dyskursywnemu rozumowi człowieka? Są pewne rośliny cieniolubne, zwane skiofitami, które giną w pełnym świetle, a wegetują tylko w głębokich ciemnościach. Podobnie i z niektórymi prawdami. Trzeba je umieć cierpliwie i żmudnie wydobywać z mroków. Odgarniać ich tajemnice spod obfitych nawarstwień przesądów. Jak pożywne jądro spod twardej skorupy orzecha.

MARIAN PIECHAŁ

3 WYWIADY NA JEDEN TEMAT

O EGZAMINIE POPRAWKOWYM — OSTATNIEJ SZANSIE STUDENTA POWIEDZIELI NAM:

Edward Miller — student Uniwersytetu Łódzkiego.

My, studenci Uniwersytetu jesteśmy w gorszym położeniu niż na przykład Politechnika. Nasza sesja egzaminacyjna jest bardzo sztywna. Mamy tylko trzy egzaminy: egzamin, egzamin poprawkowy, egzamin komisyjny. Student Politechniki może natomiast zdawać egzamin dotąd, póki nie wyczerpie się cierpliwość profesora. Znam faceta, który zaczął zaliczać w kwietniu, a udało mu się to dopiero w październiku. Jeżeli chodzi o metody zdawania to są bardzo różne. Student przygotowany idzie na pewniaka, nie przygotowani natomiast wysilają się mocno, aby zaskakującym pomysłem uzyskać pożądany wynik. Kobiety robią to zwykle w sposób „tragiczny" — od płaczu, do groźby targnięcia się na życie, przeważnie usiłują wyskoczyć przez okno profesorskiego gabinetu. Wszystko zależy oczywiście od stopnia miękkości serca profesora. A propos egzaminu komisyjnego, to i on ma swoją nazwę — „Rzeź niewiniątek".

Andrzej K. — student PŁ.

Jeden z moich egzaminów w bieżącej sesji poprawkowej składał się z dwóch etapów: pracy pisemnej i jej ustnej obrony. Na ustnym okazało się, że pisemny wypadł mi nie nadzwyczajnie. Profesor wytknął wszystkie błędy mojej pracy i w tym momencie wezwano go do telefonu. Natychmiast zacząłem uzupełniać swoje wiadomości z podręcznika, który szczęśliwie wziąłem ze sobą. Byłem tym tak zajęty, że nie zauważyłem wejścia do gabinetu jakiegoś, nieznanego mi zresztą, osobnika. Zwróciłem na niego uwagę dopiero wtedy, gdy zaczął mi bezczelnie zaglądać przez ramię do otwartej książki.

Ty, ty — powiedziałem — uważaj, bo jak profesor zobaczy, to nas obu wyrzuci. Bądź spokojny — odparł — mnie na pewno nie wyrzuci.

Okazało się, że był to asystent. Egzamin mi oczywiście unieważniono.

Tadeusz Hibner — student UŁ.

Popularnie wśród studentów nazywa się to „zjazd naukowców". To chyba trafne określenie. Na przygotowanie się do egzaminu poprawkowego jest w zasadzie dwa i pół miesiąca czasu, ale powszechnie wiadomo, że nauka zaczyna się dopiero na 10 dni przed egzaminem albo krócej. W tym czasie student pracuje rzeczywiście niczym naukowiec. Słyszałem nawet o wypadku, że ktoś spędził trzy dni dzielące od egzaminu nie wstając z fotela i nie wyjmując książki z ręki. Ponoć zdał. Nie bez znaczenia mówią o tym egzaminie — „ostatnia szansa". Wprawdzie istnieje jeszcze egzamin komisyjny, ale historia mówi, że ilość studentów, którym udało się go zdać jest znikoma. Na przykład na Wydziale Prawa na 14 zdających zdał tylko jeden.

Rozmawiał **ŁUW**

absurdziki

Proboszcz w Cholt (Francja) otrzymał w 1957 r. list następującej treści:

Proszę nie przysyłać mi z parafii listów z prośbą o datek na kościół, gdyż wdowa po mnie jest w ciężkich warunkach materialnych, a ja od roku nie żyję.

◆

Rok później dwaj dowcipni młodzieńcy: La Jeunes i Stovall zatrzymani zostali przez policję po umieszczeniu na całej długości plaży w Santa Cruz 36 tabliczek z napisami: „Zabrania się karmienia rekinów".

◆

W roku 1961 niejaki Jerzy Dębski (Polska Centralna) zaproponował by w kinach zeroekranowych wyświetlano kroniki zeroekranowe, ilustrujące zdarzenia, które dopiero nastąpią.

◆

W tym samym roku ktoś niezidentyfikowany wprowadził w Łodzi samobsługę w autobusach i chce ją rozszerzyć na tramwaje.

DE JOT

Młodym piórkiem

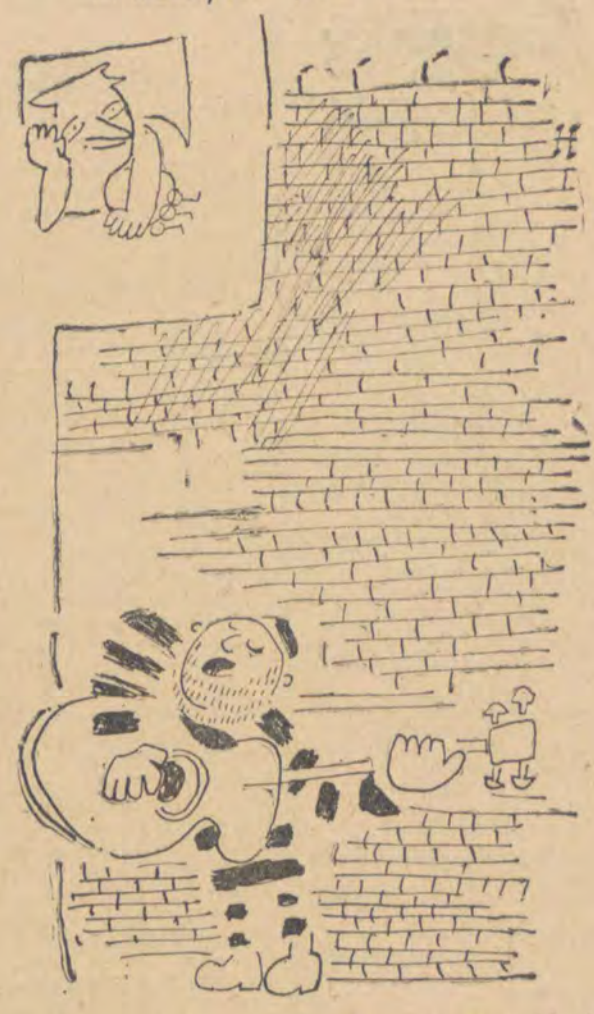

Rys. Hieronim Gąsiorkiewicz

BA gatelki

Z góry zaznaczam, że tytuł mojego pierwszego powakacyjnego felietonu nie jest kpiną z tytułów zbiorków młodych poetów — takich na przykład jak „Twarzy odwracanie", czy „Tłumaczenie obrazu". Niezmiennie i ciągle z tą samą pasją kpi z młodych poetów jedynie satyryczny tygodnik „Szpilki". Zaznaczam również z góry, że nie mam zamiaru kpić z samych „Szpilek" — tej nieprzebranej skarbnicy narodowego humoru, do tego bowiem nie upoważnia mnie ani skromna ranga naszego tygodnika, ani jeszcze skromniejszy mój staż felietonisty. Chciałbym tylko podzielić się z czytelnikami owocem moich wielodniowych dociekań nad wysoce intelektualnym dowcipem spotkanym w tychże „Szpilkach" (nr 39 z 24 IX str 9). Przytaczam dowcip: „Różnica". Na jednej ze stacji podwarszawskich dotychczasowy pracownik bagażowni przeniesiony został do działu obsługi pasażerów.

Przyjaciele pytają go, czy nie tęskni za swoją dawną pracą?

— Skądże. Zresztą, między nami mówiąc, pasażer to taka sama przesyłka jak i inne... Tyle, że się sama porusza..."

Otóż pierwsza, wprowadzająca część dowcipu zawiadamia nas o miejscu akcji — „stacja podwarszawska". W drugiej części nawiązującej wytworzono nastrój intymności („przyjaciele") i dano zaczątki akcji dramatycznej, lub dokładniej mówiąc, dialogu, (świadczy o tym pytajnik po zakończeniu zdania). Pointa kryje się w wypowiedzi awansowanego (jak zdają się sugerować „Szpilki") byłego pracownika bagażowni. Tenże awansowany pracownik po spotęgowaniu nastroju intymności („między nami mówiąc") powodowany naturalną naiwnością lub naturalnym odruchem humorystycznym wyjaśnia, że różnica między bagażem a człowiekiem polega według niego tylko na tym że człowiek się porusza. Miejsca, które Czytelnik winien wypełnić śmiechem, zaznaczone są starannie wielokropkami. Po całkowitym zrozumieniu dowcipu kończy niniejszy felieton wstrząsany atakami konwulsyjnego śmiechu

MAW

TŁUMACZENIE DOWCIPU

NIEUSTAJĄCY KONKURS „ODGŁOSÓW"

na najlepsze fraszki tygodnia i miesiąca

I UZASADNIENIE IDEOLOGICZNE:

Łódź jest jedynym miastem w Polsce, w którym liczba fraszkopisów równa jest liczbie mieszkańców. Łódź jest poza tym miastem o świetnych tradycjach, miejscem męczeństwa Jana Izydora Sztaudyngera. Postanowiliśmy te fakty uczcić monumentalnym konkursem.

II WARUNKI KONKURSU:

Fraszka musi mówić o sprawach naszego miasta, faktach które się zdarzyły. Nie muszą to być zdarzenia wyłącznie wielkie i doniosłe.

Fraszkę napisaną czytelnie na kartce pocztowej należy wysłać na adres redakcji „Odgłosów" z zaznaczeniem „Konkurs na fraszkę", przy czym musi ona wpłynąć najpóźniej w czwartek.

III NAGRODY I PRZYCZYNKI DO SŁAWY:

Nagrodą za najlepszą fraszkę jest jej druk i honorarium według normalnych stawek autorskich.

Najlepsza fraszka miesiąca otrzyma oprócz tego specjalną cenną nagrodę.

ZAPRASZAMY

ZAGADKA TYGODNIA

Dziś zagadka polegać będzie na podaniu literackich pseudonimów znanych pisarzy. Powszechnie znane jest na przykład nazwisko Woltera, któż jednak wie, że pisarz ten nazywał się w rzeczywistości Arouet. Nasza zagadka polegać więc będzie na tym, że podamy prawdziwe nazwiska a zadaniem Czytelników będzie podanie pseudonimów.

1) **Franciszek Smreczyński**
2) **Jean Babtiste Poquelin**
3) **Aleksy Pieszkow**
4) **Aleksander Głowacki**
5) **Henri Beyle**

Żeby zagadkę Czytelnikom nieco ułatwić podajemy poniżej tytuły pięciu dzieł wymienionych pisarzy. Należy zatem „przydzielić" odpowiedni utwór jego autorowi.

A oto tytuły: „Moje uniwersytety", „Faraon", „Skąpiec", „Pustelnia Parmeńska", „Komornicy", Rozwiązania wyłącznie na kartkach pocztowych należy nadsyłać na adres: Łódź ul. Piotrkowska 96, „Odgłosy".

ROZWIĄZANIE Z NR 31

Piwo — okres prehistoryczny; ziemniaki — przełom XVII i XVIII wieku, herbata — koniec XVIII wieku. Nagrodę otrzymuje pan Jerzy Mieciński, Pabianice, Żymierskiego 16.

ROZWIĄZANIE Z NR 32

Farlandia — K. I. Gałczyński; Chandra Unyńska — J. Tuwim; Sulejów — L. Rudnicki, Stalingrad — W. Niekrasow. Nagrodę otrzymuje p. J. Krawczyk, Łódź, Tuszyńska 37.

ROZWIĄZANIE Z NR 34

Zielony Balonik — Kraków; Biały Dom — Waszyngton, Szare Szeregi — Warszawa. Nagrodę otrzymuje p. Wiesław Radziejewski, Zamość, ul. Szwedzka 57.

Nasza KRZYŻÓWKA

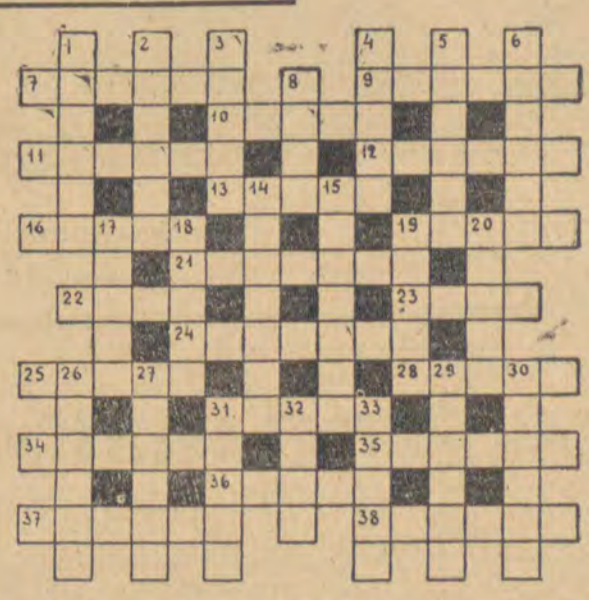

Znaczenie wyrazów:
POZIOMO — 7) Późna faza baroku, 9) Zwolennik, miłośnik, 10) Środek lokomocji, 11) Busola, 12) Imię męskie, 13) Składnik mieszanki do silników spalinowych, który zapobiega przedwczesnemu zapłonowi, 16) Płaszcz, 19) Zimowy sprzęt sportowy, 21) Mityczny bóg północnego wiatru, 22) Część świata, 23) Miasto powiatowe w województwie olsztyńskim, 24) Imię żeńskie, 25) Jaglana, manna itp., 28) Szklana osłona na lampę, 31) Koziołek w powietrzu, 34) Potrawa mięsna, 35) Zewnętrzna część orzecha, 36) Osłania dętkę koła samochodu, roweru itp., 37) W starożytnym Rzymie — członek honorowej straży przybocznej przy najwyższych dostojnikach, 38) Duża.
PIONOWO — 1) 0,5, 2) Rodzaj deseru, 3) Szeroka, piękna ulica miasta będąca miejscem spacerów i przejażdżek, 4) Zwierzę domowe, 5) Miasto w Lombardii, 6) Chrząszcz, którego wrogiem jest dzięcioł, 8) Brzask, 14) Leczenie, stosowanie zabiegów leczniczych, 15) Nazwa koloru, 17) Pochlebca, 18) Lęk, 19) Ptak, 20) Miasto powiatowe w województwie rzeszowskim, 26) Wątłość, słabość tkanek, 27) Cecha charakteru godna pochwały, 29) Miesiąc, 30) Filozof rzymski, wychowawca Nerona, 31) Roleta, 32) Imię męskie, 33) Miasto powiatowe w województwie wrocławskim.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki.

POZIOMO — troki, oliwa, Liban, metro, kucyk, Białystok, drzeworyt, „Farys", trzask, z amię, akrobata, rubin, tango, akrostych, ustawa, wieko, partytura, akwaforta, kwarc, Eliza, łubin, glina, kotka.

PIONOWO — filozof, rabat, konkurs, wieczerza, umiar, małpa, dydaktyka, ząbek, manna, kok, koc, Australia, humanista, orara, antyk, twoja, watra, Wrocław, okienko, zebra.

Nagrody książkowe za rozwiązania krzyżówki wylosowali:

1. **Stefania Barańska, Łódź,** ul. Zacisze 4 m. 6.
2. **Bogdan Józefowicz,** poczta Bardo, Ciesęki, powiat Kielce.

Młodym piórkiem

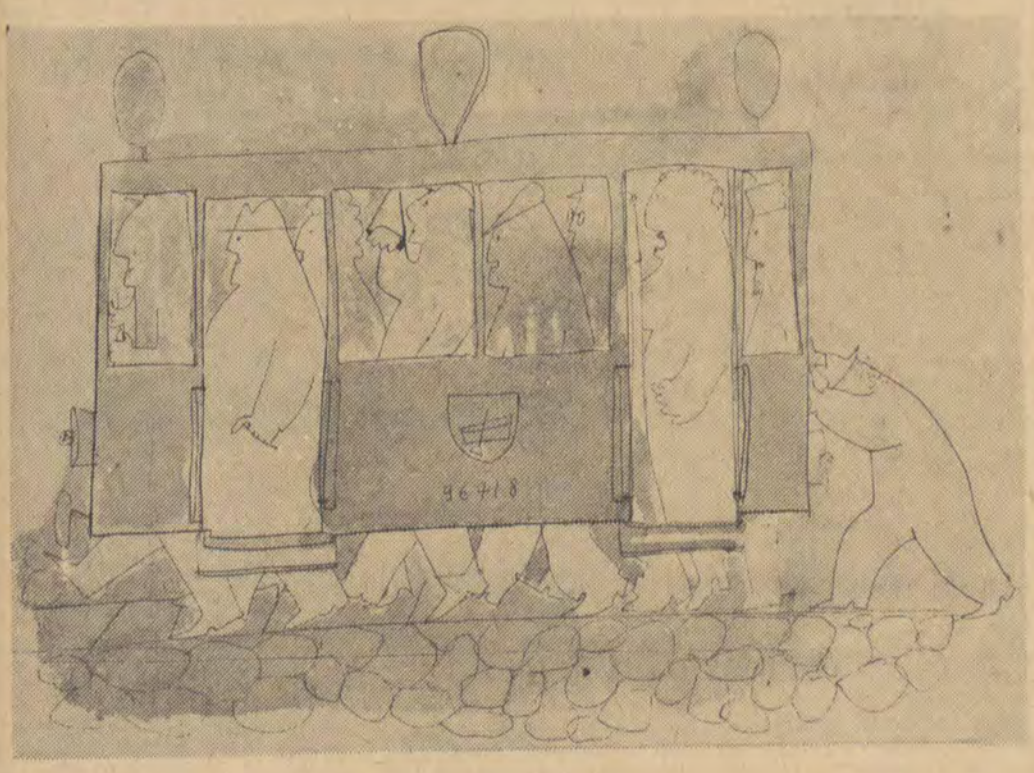

Rys. Marek Mann

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumer.: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW "Prasa" — Łódź, Żwirki 17 * Zam. 2781.X. L-4

KOBRA

„Gasnący płomień"

Wprawdzie oglądaliśmy swego czasu film pod tym samym tytułem z Ingrid Bergman i — jeżeli mnie pamięć tylko nie myli — Charlesem Boyer, nie przeszkadza to chyba jednak uznać zeszłotygodniową „Kobrę" za jedno ze szczytowych osiągnięć tego, dość kiepską mającego reputację, teatrzyku.

Kompliment tyczy przede wszystkim znakomitego w pomyśle, przejrzystego, sensownie charakteryzującego postacie opowiadania Patricka Hamiltona, na którym oparto widowisko, ale nie tylko. Okazało się bowiem nadto, że aktorzy — jeżeli dać im tylko rozsądne tworzywo — potrafią grać nawet w „Kobrze", potrafią i tu tworzyć postacie, przeprowadzać jakąś psychologiczną linię roli i tak dalej i tak dalej. Okazało się, że jeżeli element nawiązań tkwi w samym scenariuszu, można darować sobie „podbudowywanie" rzeczy tanimi i jeszcze tańszymi chwytkami, że można — powiedzmy — przyjemnie bawić się odbiciami w lusterku, a nie demonizować, nie szukać cieni za oknami i nie straszyć widza w kółko złowrogą muzyką.

Wiele rzeczy się okazało — to nawet, że „Kobra" może być w pewnych szczególnych przypadkach teatrem, z którego lekkomyślnego oglądania nie trzeba się potem wstydliwie opowiadać po kątach.

Tyle komplementów.

Reżyserował Andrzej Łapicki, onże przewrotny mąż i zbrodzień. Jego żonę grała Zofia Mrozowska, detektywa Stanisław Jasiukiewicz, nadto widzieliśmy Marię Żabczyńską, Alicję Wyszyńską i dwóch panów w melonikach.

Warto może przy okazji wspomnieć, że wkrótce „Kobra" pójdzie i z Łodzi. Reżyserować ma Jerzy Antczak. Trzymaj się, człowieku!

J. P.

Rozmyślania przy telewizorze

... za lekceważenie sądu

Pasjonuje mnie druga strona ekranu. Wiemy o niej i bardzo dużo i prawie nic. Realizatorzy audycji telewizyjnych, mam tu na myśli sprawy telewizyjnej dziennikarki (i to głównie lokalnej) pokazują nam się ze swej najlepszej strony, która jednak każe zadumać się poważnie nad ich przyszłością na szklanym ekranie. Oglądając ich audycje wiemy o nich aż tyle, że tylko dobre obyczaje nie pozwalają przekazywać tego drukiem. Ostatnio na tapecie jest sprawa audycji magazynowo-cyklicznej „Spojrzenia i opinie". Zajmujemy się nią i my nie tylko dlatego że kryje w sobie pewną tajemnicę, ale dlatego że stanowi stałą pozycję magazynową, telewizyjną trybunę wszystkiego co łódzkie. W środowisku dziennikarskim zainteresowanie tą właśnie audycją jest duże. Telewizja nasza bowiem raz po raz w momentach niewytłumaczalnego zrywu robi wypad w kierunku gmachu prasy przy ul. Piotrkowskiej 96. Wynikiem tego jest zawsze parę nowych twarzy w magazynach publicystycznych. Oglądamy je zresztą długo. Nie dlatego, że dziennikarze prasowi nie zdają egzaminu w TV — bo nawet nie mają czasu przyzwyczaić się do nowej bądź co bądź formy pracy, ale po prostu kontakt z TV urywa się bardzo szybko. Telewizja nie umie, czy nie chce skupić wokół siebie stałych współpracowników. O przyczynach tego stanu nie wiemy nic. Tu może konieczny byłby jakiś drastyczny przykład? Wiosną tego roku Komitet do Spraw Radiofonii Polskie Radio i Telewizja ogłosił konkurs ogólnopolski na sprawozdawców radia i telewizji. Pisząc o przebiegu konkursu w Łodzi byliśmy odrazu sceptycznie nastawieni do jego ewentualnych rezultatów w postaci zatrudnienia utalentowanych, młodych ludzi przed mikrofonem i kamerą. Spośród blisko 3 tys. uczestników konkursu została wyłoniona grupka zdaje się 13 osób — zwycięzców. Wśród nich dwóch łodzian. Jeden dziennikarz, jeden absolwent Uniwersytetu Łódzkiego. No i co? Od czasu do czasu telefonują do nich z Warszawy i pytają czy łódzkie radio, czy łódzka telewizja już zwróciły się z propozycjami zatrudnienia, ze zleceniami audycji? A oni odpowiadają zawsze: Nie. Nikt nas o to nie prosił.

Ktoś mógłby pomyśleć, że mamy w łódzkiej telewizji siły tak znakomite, iż każdy nowy dziennikarz — sprawozdawca będzie tylko kulą u nogi....

Ale znów wystarczy spojrzeć na ten ekran, posłuchać....

O tak! O drugiej stronie ekranu nie wiemy nic!

Tymczasem liczba odbiorców programu TV rośnie z miesiąca na miesiąc. Z końcem roku 1955 mieliśmy w Polsce 12 tys. aparatów telewizyjnych, po półroczu 1961 doliczyliśmy się już 515 tys. W Łodzi przybywa co miesiąc ponad 2 tys. nowych odbiorników. Jeśli chcecie mieć pojęcie o rozmiarach telewizyjnej widowni pomnóżcie liczbę odbiorników przez skromne 4...

Tak olbrzymia liczba ludzi oglądająca nas w czasie prowadzenia programu na żywo musi określić jakoś stopę wymagań stawianych dziennikarzowi telewizji. To już nie może być dobry czy bardzo dobry dziennikarz. To musi być super-dziennikarz, o doskonałej aparycji, miłym głosie, błyskawicznym refleksie, ciętym dowcipie, precyzyjnym umyśle, dużej znajomości przedmiotu, życiowym obyciu, wzorowym zachowaniu, takcie, wysokiej kulturze osobistej itd. itd. Proszę pamiętać, że każdy jego grymas twarzy, gest, ruch, śledzą miliony ludzi, słuchają każdego jego słowa, może będą go naśladować, zwracają uwagę na budowę zdań, sposób prowadzenia rozmowy, na to czy np. słucha swego interlokutora, czy też jak p. Irena Dziedzic zapędza go w kozi róg, tam wszystko za niego gada, z wielkiego naukowca robi smarkacza.

O jakże pasjonuje mnie druga strona ekranu! Ciekaw jestem nieraz czy nasi koledzy (niejako po fachu) zastanawiają się nad tymi paroma sprawami, które poruszyłem, a które bynajmniej zagadnienia kontaktów widz-teleautor nie wyczerpują? Czy też wiedząc o nich nie lekceważą po prostu olbrzymią telewidownię? Ale jeśli tak by było, niechże pamiętają, że ta milcząca druga strona (licząc od studia) nie szczędzi im w tej samej chwili razów celnych i bolesnych.

Ostrzegałbym więc przed samoupojeniem, samouwielbieniem i brakiem autokrytycyzmu. Oko kamery i membrana mikrofonu są sędziami surowymi ale najsurowszym jest widz.

Za lekceważenie sądu właściwie powinno się pójść do ciupy.... (x)

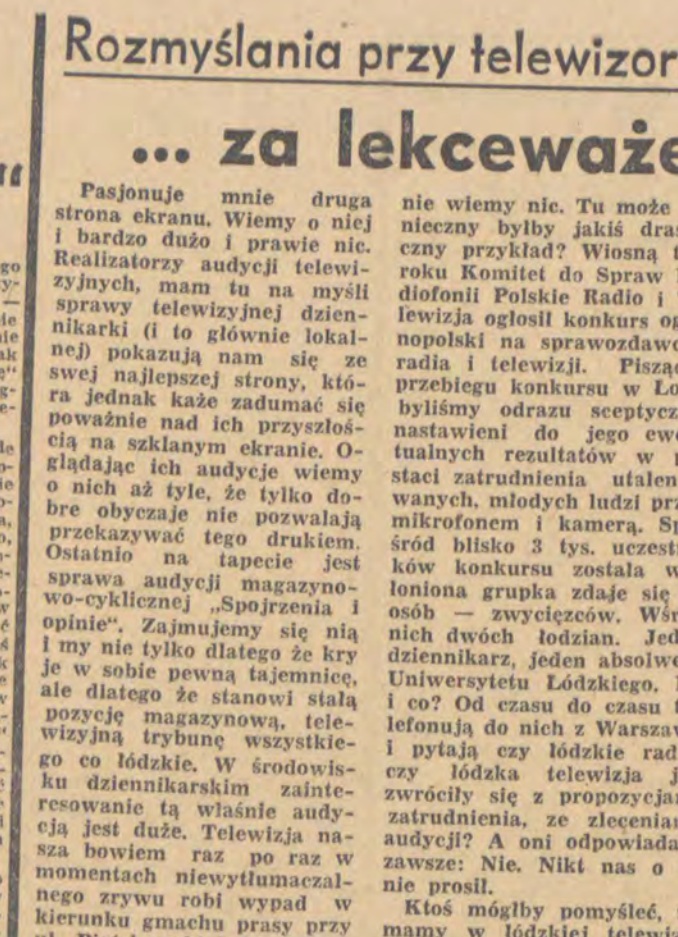

Nasze nowe hobby — to wprowadzenie na ekrany telewizji nowych pięknych twarzy. Oto nowa propozycja. Maseczka ułatwia zadanie speakerce, której przypada w udziale zapowiadanie koncertów rozrywkowych w rodzaju nadanego z Łodzi w ubiegły piątek.

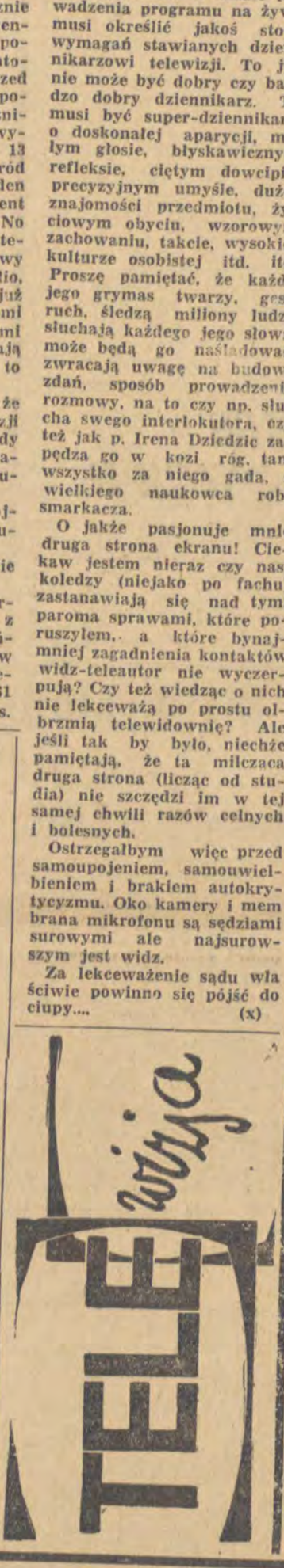

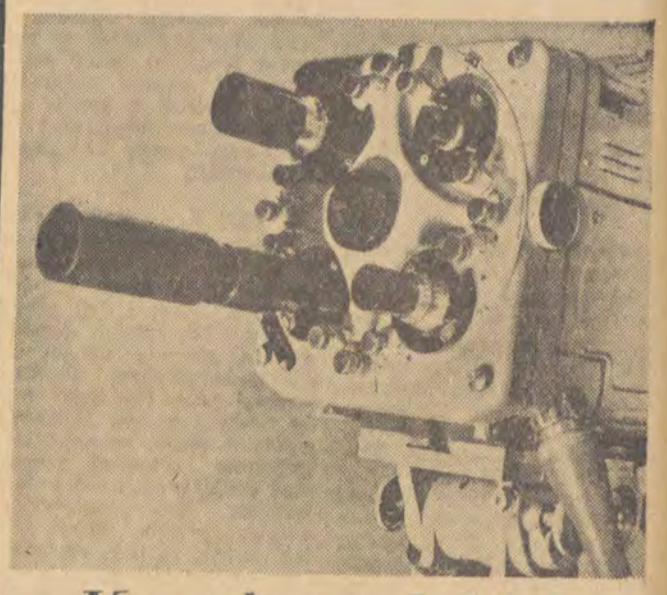

Kanały polskich stacji telewizyjnych

Telewizja nadaje swoje programy, jak wiadomo, na falach ultrakrótkich, które zostały podzielone na pięć pasm: I-40-68 Mhz II-87,5-100 MHz, III-174-223 MHz, IV-470-585 MHz, V-610-940 MHz. W paśmie drugim nadaje się programy radiowe z modulacją częstotliwości (Warszawa 97,75 MHz, Katowice 89,8 MHz, Opole 95 MHz). Pasmo III i IV, wykorzystywane jest w Stanach Zjednoczonych przez telewizję. Polskie stacje telewizyjne korzystają z pasma I i III, które zostały podzielone na 12 kanałów.

Kanał	Częstotliwość fonii MHz	Częstotliwość wizji MHz
1	49,75	56,25
2	59,25	65,75
3	77,25	83,75
4	85,25	91,75
5	93,25	99,75
6	175,25	181,75
7	183,25	189,75
8	191,25	197,75
9	199,25	205,75
10	207,25	213,75
11	215,25	221,75
12	223,25	229,75

A oto kanały, na których nadają polskie stacje telewizyjne: Warszawa — 2, Łódź — 6, Poznań — 7 — 3. W najbliższych latach nastąpi powiększenie Katowice — 8, Wrocław — 12, Gdańsk — 3, Kielce — 1, Zakopane — 6, Kraków — 10, Szczecin — 12, Bydgoszcz — 6, Olsztyn — 6, Kalisz — 2, Jelenia Góra — 10. Dla stacji które zostaną zbudowane w najbliższych latach przewidziano następujące kanały: Koszalin — 12, Białystok — 8, Lublin — 9, Rzeszów — 12, Zielona Góra mocy stacji już pracujących. W związku z czym niektóre z nich przejdą na nadawanie swoich programów na innych kanałach, a więc Warszawa — 11, Gdańsk — 10, Bydgoszcz — 1, Łódź — 7, Poznań — 9, Kielce — 3.

Zgrzeszyłem, ciężko zgrzeszyłem...

„Warszawska jesień" się skończyła, a „Warszawska zima" nam nie grozi. Zupełnie niebywałym ukoronowaniem finału festiwalu muzyki współczesnej była jednoczesna transmisja koncertu pożegnalnego w II programie Polskiego Radia i w jednym (niestety) programie telewizji. Była to niedziela wieczór. Całe rodziny zeszły się, by spędzić czas przy telewizorze. Czym ich uraczono? Koncertem muzyki nowoczesnej. Ilu melomanów pasjonuje ona w kraju? Pięć, dziesięć tysięcy?

Ile osób liczy telewizyjna widownia w niedzielę wieczór o godzinie 20 do 22?! Obok podajemy potrzebne liczby — widownia ta liczy minimum dwa i pół miliona obywateli PRL. Rozumiemy, że kierownictwo naszej ukochanej Telewizji przepada za muzyką nowoczesną, niechże jednak, na Boga, liczy się trochę ze swymi odbiorcami programu. Na tematy programu festiwalu toczą się w tej chwili spory fachowców. Klócą się: Co w ogóle jest muzyką, a co nią nie jest? Ale można przysiąc, że całego narodu to nie interesuje. Natomiast oczekuje on wciąż dobrej rozrywki, osobliwie w niedzielny wieczór. Ktoś zorientowany powiedział, że transmisje telewizyjna zrobiono po to, by przedstawiciele zagranicy zobaczyli jak to U NAS hołubi się muzykę nowoczesną. Wielka cenę przychodzi więc nam płacić za obłędne pomysły propagandowe niektórych ludzi z TV.

P. S. Przy moim aparacie owej niedzieli zebrało się grono ludzi wykształconych. Dopuściłem się wobec nich oszustwa. W telewizorze pozostawiłem tylko obraz, wyłączyłem dźwięk. Dźwięk puściłem z płyty. „Rosamunda" Szuberta tylko miejscami zastanawiała w interpretacji ekranowego dyrygenta. Wydało się, gdy w TV skończyli grać wcześniej niż płyta.

Ale niechże telewizja nie nakazuje mi więcej grzeszyć...

(m)

PROGRAM
na najbliższe dni

CZWARTEK — 5. X. 61.

10.00 Program dla szkół: Język polski (dla kl. V—VII) „Fryderyk Chopin" z cyklu „Sylwetki wielkich ludzi", Transm. z Żelazowej Woli (W). 10.30—17.10 Przerwa. 16.30 Program dnia (Ł. lok.). 16.55 „Na tropie zła" progr. publ. (Ł. lok.). 17.10 „Uzbekistan i Kazachstan" — rep. filmowy (W). 17.30 „O wsi dla wszystkich" (Poznań). 18.00 „Twoje książki" — dla dzieci starszych (W). 18.30 „Ostatni rok samotności" — progr. publ. wg scenariusza Andrzeja Kamieńskiego (W). 19.00 Koncert muzyki i tańca". Danuta Kwapiszewska—taniec, Cezary Owerkowicz — fortepian (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Nie tylko dla pań" — magazyn (W). 20.20 PKF (W). 20.40 „Porozmawiajmy" — Z dyr. programowym TV rozmawiać będzie red. Lech Pijanowski (W). 21.05 Teatr „Kobra": „Błękitny Mauritius" — widowisko sensacyjne Agnes Soerssen. Reżyser — Bohdan Radkowski (W). 22.05 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK — 6. X. 61.

16.40 Program dnia (Ł. lok.). 16.45 „Spojrzenia i opinie" (Ł. lok.). 17.20 „Rewolucje pałacowe" — reportaż inscenizowany Ł. (ogólnopolski). 17.50 Film z serii „Mój koń" — prod. ang. (W). 18.20 Program publicystyczny dla młodzieży pt. „Gong" (Kat). 18.55 Wszechnica TV: I program z cyklu „Azja" (W) 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Sprawozdanie z międzypaństwowego meczu bokserskiego Polska — NRD. Transmisja z Berlina przez Katowice (B). 22.30 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA — 7. X. 61.

10.00 Program dla szkół: Botanika „Od nasienia do nasienia" z cyklu: „Natura i człowiek" (dla kl. V) (W). 10.30—16.55 Przerwa. 16.55 Program dnia (Ł. lok.) 17.00 Program dla dzieci: Teatrzyk „Violinek" (W). 17.30 „Samotny biały żagiel" — film prod. radz. dla dzieci. Reżyseria — Władimir Legoszyn (W). 18.50 Program tygodnia (W). 19.10 Program tygodnia (Ł. lok.). 19.20 Wystąpienie amb. NRD (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W) 20.00 „Pegaz" — magazyn kulturalny pod redakcją Grzegorza Lasoty (W). 20.30 „Parada natrętów" — film fabularny (komedia) prod. franc. (dozw. od lat 14) (W). 21.52 Polska Kronika Filmowa (W). 22.02 Film krótkometrażowy (W). 22.10 Ostatnie wiadomości (W). 22.20 „Paragonia" — widowisko satyryczne Jerzego Jesionowskiego w reżyserii Jacka Szczeka (W).

TEATR ZA SZKŁEM

Uroki dobrego aktorstwa

W niedzielę 24-ego Estrada Literacka, a w poniedziałek 25-ego Teatr Telewizji nadały kolejno: jednoaktów kę Marivaux „Zapis" w przekładzie Tadeusza Boya-Żeleńskiego i „Farsę o mistrzu Piotrze Pathlin" francuskiego anonima w tyle znakomitym, co słynnym, opracowaniu Adama Polewki.

W obu wypadkach mieliśmy do czynienia z audycjami — chciałoby się rzec — zupełnie niewyrafinowanymi telewizyjnie, podanymi — jeżeli chodzi o ujęcia kamerowe, montaż, zmiany planów, oświetlenie i tak dalej i tak dalej — bardzo prosto, a co za tym idzie chwilami statycznie. Że z niedostatku terminologii gubimy się może czasami w rozróżnieniach tego typu, powiem więc innymi słowami, że wspomniane inscenizacje miały bardzo mało, prawie nic, z techniki filmu, a bardzo dużo, prawie wszystko, z techniki teatru. Teatru wzbogaconego o możliwość zbliżeń, a zubożonego o konieczność rozgrywania widowiska na małym prostokącie telewizyjnego ekranu...

Ale obie rzeczy, kameralne przecie w swoim istotnym zarysie, znakomicie się na owym małym prostokącie dały rozegrać. I dały szerokie pole do aktorskiego popisu — tak w jednym, jak i w drugim wypadku.

Chociaż Czesław Wołłejko z „Zapisu" wcale mnie nie przekonał. Był zimny w swojej białej peruczce, cedził tekst, usiłował zachować dystans już nie tylko wobec partnerki — co z akcji wynika — ale i wobec kamery, jakby się tej kamery bał.

Za to Halina Mikołajska — druga prowadząca rola — znakomita. Leciutka, bardzo czytelna w prowadzonej intryżce, klarowna, a zarazem wolna od obaw przed jakimś żywszym drgnieniem czy odruchem. W ogóle zdawać mi się zaczyna chwilami, iż aktorów w telewizji usztywnia niejednokrotnie lęk przed kamerą, która — wiadoma to rzecz — wychwytuje przesadne uśmiechy, spojrzenia, czy nawet skłony głowy; popadają tedy w drugą skrajność i niemal zupełnie eliminują z gry silniejsze środki ekspresji.

I gdyby ten lęk prześladował, powiedzmy, Wojciecha Skibińskiego — naprawdę dobrego, wyrazistego mistrza Pathlin — o ileż uboższe byłoby smakowicie i wdzięcznie przyrządzone przez Ewę Bonecką widowisko!! Ten wszelako potraktował rolę jurnie i z rozmachem, nie mogąc grać wszerz (aktorzy powiedzieliby: „od kulisy do kulisy"), śmiało grał do kamery, niemalże w nią wchodził chwilami i to z jak najlepszym efektem.

Podobnie inne role: Barbary Krafftówny, Lecha Ordona, Henryka Szletyńskiego, wreszcie Mariana Kociniaka — miały w sobie bogatą zawiesistość hucznego humoru, którym „Farsa o mistrzu Pathlin" jest przecież naładowana.

Doprawdy, zabawne było to poniedziałkowe widowisko, choć wystawione skromnie i bez fajerwerków. Co jedno razić mogło, to nagminne rozwiązywanie sytuacji „w stronę kamery", tak jak przeważnie rozwiązuje się je w teatrze „w stronę widowni". Zasadnicze sceny — w kramie, w domu mistrza Piotra, wreszcie w sądzie, rozwiązane zostały na jeden i ten sam sposób: straganu, łóżko i krzesło sędziowskie stały w głębi, akcja zaś rozgrywała się na planie pierwszym. Aż prosiły się jakieś ujęcia boczne, jakiś zajazd kamery, odwrócenie planów, spojrzenie na salę sądową zza pleców sędziego, czy na biednego kramarza zza gołych stóp mistrza Pathlin.

To właśnie miałem między innymi na myśli mówiąc o czysto teatralnej reżyserii; tam inscenizator wie, że widz patrzy z jednego i tego samego kierunku, tu mógłby natomiast ten kierunek mu narzucić i zmienić tyle razy, ile to będzie potrzebne. Nie chciałbym czynić z tego jakiegoś zasadniczego zarzutu, myślę jednak że pełniejsze wykorzystanie technicznych możliwości telewizji w sensie artystycznym, a nie tylko w sensie środka przekazu, wzbogaciłoby jeszcze i tak interesującą premierę Teatru Telewizji.

J. PANASEWICZ

ZBIGNIEW NIENACKI

Worek JUDASZÓW

Koło miasteczka R. w woj. łódzkim, na terenach opanowanych przez bandy w 1946 roku, odnaleziono spadochron z angielskimi napisami. W tym samym czasie człowiek o imieniu Albert wsiadł do pociągu jadącego do R. Na pociąg zorganizowano napad. Albert poznał młodą kobietę która współdziałała z bandą. W R. Albert wynajął pokój w willi majorowej Raczyńskiej. W nocy wymknął się z willi i na moście spotkał w samochodzie mężczyznę imieniem Mikołaj, od którego otrzymał plik dolarów i list polecający do klasztoru. Albert i Mikołaj rozmawiają w samochodzie o tajemniczym „Zwierciadle Kryształowym"

Nazajutrz Albert odwiedza gimnazjalnego profesora historii, Rymuza, zostaje przyjęty przez jego córkę.

Po powrocie do willi majorowej Albert wykąpał się, spakował walizki. Jedną z nich, większą — wsunął pod łóżko. Drugą — mniejszą zdecydował zabrać ze sobą. Ubrany w płaszcz i kapelusz z walizeczką w ręku zajrzał do kuchni, gdzie krzątała się majorowa.

— Postanowiłem na kilka dni opuścić R. — oświadczył. — Pokój jednak zatrzymuję i zostawiam w nim trochę swoich rzeczy. Należność chcę zapłacić zaraz, na dwa tygodnie naprzód.

W kuchni krzątała się służąca. Delikatnym kiwnięciem głowy dał majorowej do zrozumienia, że pragnie rozmówić się z nią na osobności. Przeszli więc do hallu.

Miał zatroskany wyraz twarzy i trochę naiwny uśmiech.

— Jestem w tym miasteczku zupełnie obcy — zaczął wstydliwie. — Niestety, tak się jakoś złożyło, że posiadam tylko... dolary. Boję się je wymieniać na złote, nie znam tu nikogo godnego zaufania. Czy przyjmie pani należność w obcej walucie?

— Tak. Tak. Proszę...

Wymieniła aktualny kurs papierowych dolarów. Wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni. Zaglądała mu przez ramię, gdy odliczał dla niej kilka banknotów. Wydawało się jej, że giemzowe przegródki aż pękają od zwitków pieniędzy.

„Zanim zawiadomi UB, spróbuje oskubać mnie z dolarów. Mam więc trochę czasu przed sobą" — myślał Albert całując pachnącą perfumami dłoń majorowej.

— Proszę wracać jak najszybciej — szepnęła.

Uczuł w swej dłoni silny uścisk jej palców..

* * *

Padał deszcz. Stał pod balkonem piętrowego domu w rynku miasteczka. O trzy kroki od niego świeciła brudna lampa, w jej wąskim kręgu raz po raz pojawiały się przygarbione spieszące gdzieś postacie ludzkie, o mokrych jakby zapłakanych twarzach. Stąd — jak poinformowano Alberta — co wieczór odjeżdżał w stronę Dąbrowy autobus przerobiony z ciężarowego samochodu.

Albert czekał już od godziny. Czekało jeszcze kilka osób ukrytych przed deszczem pod balkonami i wystającymi gzymsami domów.

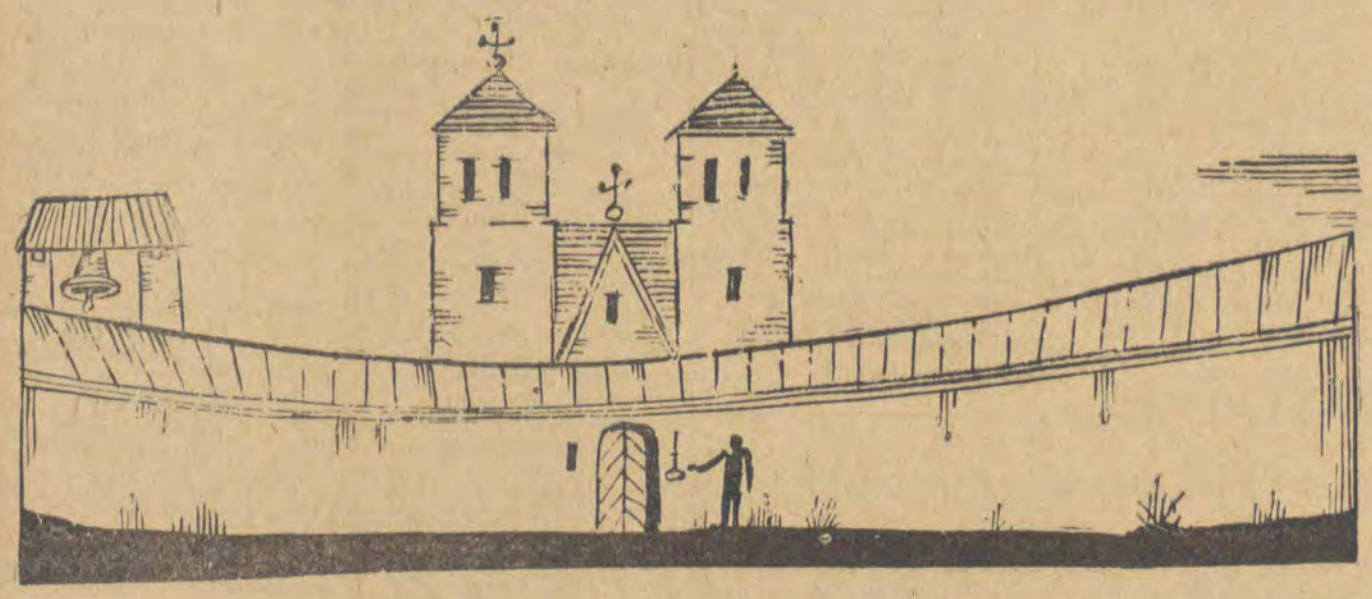

Nagle w kręgu światła ukazała się wysoka, szczupła sylwetka. Zbyt późno ją zauważył i nie zdążył odwrócić się twarzą do ściany. Ramuzówna przystanęła obok niego, zalotnie zajrzała mu w oczy.

— Wraca pan do Warszawy. Jeśli nie ma pan nic przeciwko mojej osobie, mogę odprowadzić pana do dworca.

— Wyjeżdżam do Dąbrowy.

— Nie miało sensu uciekanie się do kłamstw. Ciężarówka mogła lada chwila podjechać.

Zniknęła jej zalotność. Milczała ponuro.

Spróbował zażartować:

— Jadę po „Kryształowe zwierciadło".

— Jedzie pan po śmierć — rzekła spokojnie, bez odrobiny patosu. Dodała:

— Za Dąbrową zaczynają się lasy, królestwo Rokity. Pan jest trzecim, z którym tu stoję i czekam na auto do Dąbrowy. Ci dwaj, których odprowadziłam, nie wrócili. Mój Boże, jakie to wszystko teraz proste. Nie rozumiem tylko w jakim celu potrzebna była panu rozmowa z moim ojcem?

— Chcę wiedzieć dlaczego Łaski sprowadził do Polski Kelleya i Dee. Za cztery dni odwiedzę znowu pani ojca. Przyjdę po jego notatki.

— Wiem, że pan nie wróci — rzekła podając mu rękę. — Nie chcę czekać z panem na auto. Nie przynoszę szczęścia. Ci, z którymi czekałam, nie wrócili.

Odeszła szybkim krokiem otulając głowę w wełnianą, żółtą chustkę. Po chwili, chlapiąc błotem nadjechała ciężarówka, wielka buda z podarta plandeka. Przez dziurę w plandece Albert znowu zobaczył Ramuzównę.

Stała na rogu rynku, czekając aż wyminie ją ciężarówka jadąca do Dąbrowy.

* * *

Przeorysza klasztoru Kamedułek w Dąbrowie otwierała list prałata koniuszkami palców, jakby bojąc się powalać je atramentem, którym napisano kilkanaście słów zawartych w liście. Jej dłonie wychylające się z szerokich rękawów habitu były drobne, prawie przezroczyste, zdawało się — zaznaczyłby się na nich nawet najdrobniejszy ślad brudu.

Czytała list długo. Zastanawiała się nad każdym wyrazem. Niekiedy przerywała czytanie i spoglądała na Alberta. Światło elektrycznej żarówki umieszczone pod sufitem refektarza spływało po jej czarnym welonie okrywającym biały płaszcz i biały habit. Usta miała sine, bez kropli krwi, twarz szarą, jakby osypaną popiołem. I tylko oczy — czarne, żywe, zapewniały, że kiedyś odznaczała się urodą, i że to nie było dawno.

Ukryła list w rękawie habitu. Skąpym ruchem dłoni wskazała Albertowi drewnianą ławkę obok stołu.

— Będzie pan u nas mógł pozostać tak długo, jak pan zechce — mówiła cicho, prawie szeptem. Jej głos wydawał się Albertowi niezwykle melodyjny i ciepły. — Zamieszka pan w celi zakonnej na piętrze północnego skrzydła klasztoru. Południowe skrzydło zajmują siostry zakonne. Proszę im nie mącić spokoju pod żadnym pozorem... Przychodzi pan ze świata pełnego zgiełku i wrzawy; tu będzie pan musiał milczeć. Proszę nikogo o nic nie pytać, i nie próbować z nikim rozmawiać. Tu nie ma spraw ważniejszych niż pamięć o śmierci.

Kiwnęła mu głową i wolno odeszła w głąb refektarza. Sucho szeleścił jej biały habit. Stąpała dystyngowanie, jak dama dworska nosząca suknie dziergane złotem.

W refektarzu było zimno. Albert trząsł się od chłodu. Zjawiła się siostra konwerska — młoda, brzydka kobieta w brudnym i połatanym habicie. Zaprowadziła Alberta do jego celi, wyjaśniła, że biblioteka, w której zamierza pracować, znajduje się tuż pod jego celą na parterze. Obok były schody na podwórze i do ogrodu. Trzy razy dziennie miano Albertowi przynosić posiłki do jego celi. Ostrzegła go, że jedzenie jest skąpe; zakonnice poszczą — żyją wyłącznie o chlebie i wodzie. Z celi, którą zajął Albert wyniesiono czarną prostą trumnę — w trumnach spały siostry zakonne; wstawiono mu drewnianą pryczę.

* * *

Klasztor w Dąbrowie stanowił wysoki czworobok zabudowań, z wciśniętym w północno-zachodnie narożę niewielkim kościółkiem. Wśród równych dachów zaznaczała się szczupła wieżyczka sygnaturki. Z zewnętrznej strony, na tle gładkich, sinobiałych murów spryskanych rudymi zaciekami widniały zakratowane okienka. Po wewnętrznej stronie na wysokości pierwszego piętra obiegał klasztor barokowy krużganek, na który wychodziły drzwi cel zakonnych. Na dole były szerokie podcienia i mieściły się pomieszczenia gospodarskie: kuchnia, pralnia, a także biblioteka i refektarz. Czworobok zabudowań obejmował prostokątne podwórze podobne do więziennego, dokładnie wybrukowane wielkimi głazami.

Klasztor postawiono w XV wieku. Kilkakrotnie przebudowany nosił w sobie znamiona różnych stylów architektonicznych; wydawał się brzydki, ponury i chłodny.

Cela Alberta przylegała do murów kościoła, w środku nocy zbudził go ostry, przenikliwy dźwięk sygnaturki — regularnie co trzy godziny w dzień i w nocy głos sygnaturki wzywał zakonnice do opuszczenia cel i do modlitwy w kościele. Kuląc się od chłodu pod dwoma cienkimi kocami słyszał Albert przygłuszony murami śpiew z kościoła. Nie rozróżniał słów. Śpiew ów wydawał mu się płaczem żałobnym. Przenikał ściany, podsuwał obraz pogrążonego w półmroku kościoła, zebranych w nim białych jak mary mniszek, trzymających zapalone świece. Nie było w ich śpiewie żadnej melodii, lecz jakby przyciszony krzyk, jednostajne narzekanie.

Potem przychodziła cisza, sen nie wracał. Albert spróbował czytać i przekręcił kontakt elektryczny. Słabo świecąca żarówka męczyła jednak wzrok; naprzeciw oczu Alberta wisiał ogromny krucyfiks; na czarnym ciele Chrystusa zastygł czerwony blask jak krople żywicy lub krwi. Z kątów celi, jakby wielkimi dziurami spoglądały czarne plamy wilgoci, w plecy uwierały deski pryczy. Szeleściła cienka warstewka słomy w sienniku.

...I znowu zbudził go głos sygnaturki. Pół śpiąc, pół marząc — widział Albert siebie w pracowni Dee w Mortakle w takiej jak ta celi z zakrwawionym krucyfiksem. Pośrodku celi „stół przymierza" mistrza Dee, a na stole „Kryształowe zwierciadło". Noc, skwierczą zapalone świece na klęczniku głośno modli się John Dee, a Edward Kelley w śpiczastej czapce czarnoksiężnika wpatruje się w opalizujący tajemniczo kryształ zwierciadła. Dee modli się, zaklina duchy; modlitwa i zaklęcia przekształcają się w monotonny śpiew, który zdaje się płynąć gdzieś z podziemia...

* * *

O szóstej rano siostra-konwerska zapukała do celi Alberta. Przyniosła cynową miednicę i dzbanek z wodą, kubek gorącego mleka i dwa kawałki chleba posmarowanego marmoladą.

— O siódmej jest Msza Święta — rzuciła krótko, jak rozkaz.

Niewyspany, głodny, zziębnięty wtulił się Albert w wąski kącik między konfesjonałem i żelazną kratą przedzielającą kościół klasztorny. Po jednej stronie kraty mieli prawo przebywać wierni z okolicy, po drugiej zaś zakonnice, którym reguła świętego Romualda z Rawenny zakazywała rozmów z ludźmi, narzucała tryb życi zbliżony do pustelniczego.

Mszę Świętą odprawiał młodziutki wikariusz. Blisko ołtarza klęczało kilka wiejskich kobiet. Przez wąskie okienka w kracie naliczył Albert szesnaście zakonnic, zgarbionych nad brewiarzami. Cztery spośród nich leżały krzyżem na chłodnym betonie. Były jak martwe łabędzie z rozrzuconymi skrzydłami; ich twarze wydawały się sine, białe fałdziste habity zaledwie zaznaczały ludzkie kształty.

Obok kraty, trzy kroki od Alberta, klęczała przeorysza. Albert widział jej wargi drgające modlitwą, piękne ręce trzymające brewiarz, drobniutkie stopy w twardych skórzanych sandałach. W talii ściśnięta była wąskim wełnianym paskiem, co uwydatniało zarys piersi. Ten jeden szczegół ożywiał ją, w wyobraźni Alberta, dopomagał mu uświadomić sobie, że habit kryje gorące kobiece ciało jeszcze chyba nie pozbawione piękności.

Zadzwoniono na komunię. Zakonnice podchodziły do ołtarza, a potem na klęczkach wycofywały się na swoje dawne miejsca. Raptem w smudze żółtego światła przesączonego przez złoty witraż zobaczył Albert twarz kobiety z pociągu, którym jechał do R. Orli nos, kremowa twarz ze złotymi centkami, kosmyk miedzianych włosów nad czołem obrysowanym czarnym welonem.

Podobieństwo było tak wyraźne i tak niespodziewane, że Albert o mało nie krzyknął. Przywarł policzkiem do żelaznej kraty, starając się zobaczyć jak najlepiej, i dokładniej. Lecz zakonnica przebrnąwszy na kolanach smugę żółtego światła, skryła się w półmroku. Aż do końca Mszy pozostała odwrócona tyłem do Alberta.

Nie miał możliwości sprawdzenia czy nie uległ jakiemuś złudzeniu. Kiedy skończyła się Msza, mniszki opuściły kościół bocznym wejściem prowadzącym wprost do ich skrzydła. Albert ruszył do swej celi, a później powędrował do biblioteki.

Po drodze natknął się na konwerskę, która przyniosła mu śniadanie. Z wbitym w posadzkę wzrokiem wysłuchała jego ostrożnych pytań o widzianą w kościele zakonnicę.

Nagle jękliwie odezwała się sygnaturka. Mniszka przeżegnała się. Rzekła z pokorą:

— Memento mori — i klekocąc sandałami pobiegła krużgankiem.

„Śnię? Majaczę, jak w nocy?" — przeraził się Albert. Przypomniał sobie piękne nogi kobiety z pociągu, krągłe, gładkie kolana. Czy możliwe, że przyobiekła się w brzydki habit zakonny i klęcząc wędrowała po posadzce kościoła, zrywała się z trumny na każde wezwanie dzwonka na wieży?

Ledwie zaczął w bibliotece wertować katalog zjawiła się przeorysza. W jej szybkim chodzie nie znalazł śladu dawnej dystynkcji. Zapewne biegła tu — była zdyszana, dłońmi przytrzymywała piersi. Na szarych policzkach wystąpiły brzydkie rumieńce.

— Kiedy po raz ostatni widział się pan z prałatem?

Zmarszczył czoło. Niepewnym ruchem ręki przygładził włosy. Nigdy nie widział się z prałatem. To Mikołaj załatwił dla niego list polecający.

— Ostatni raz zetknąłem się z nim chyba przed trzema tygodniami — mówił wolno, nie mogąc opanować rosnącego niepokoju. — List polecający do waszego klasztoru otrzymałem od niego za pośrednictwem mego przyjaciela...

— Prałat jest aresztowany! Aresztowano go w ubiegłym tygodniu!

d. c. n.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

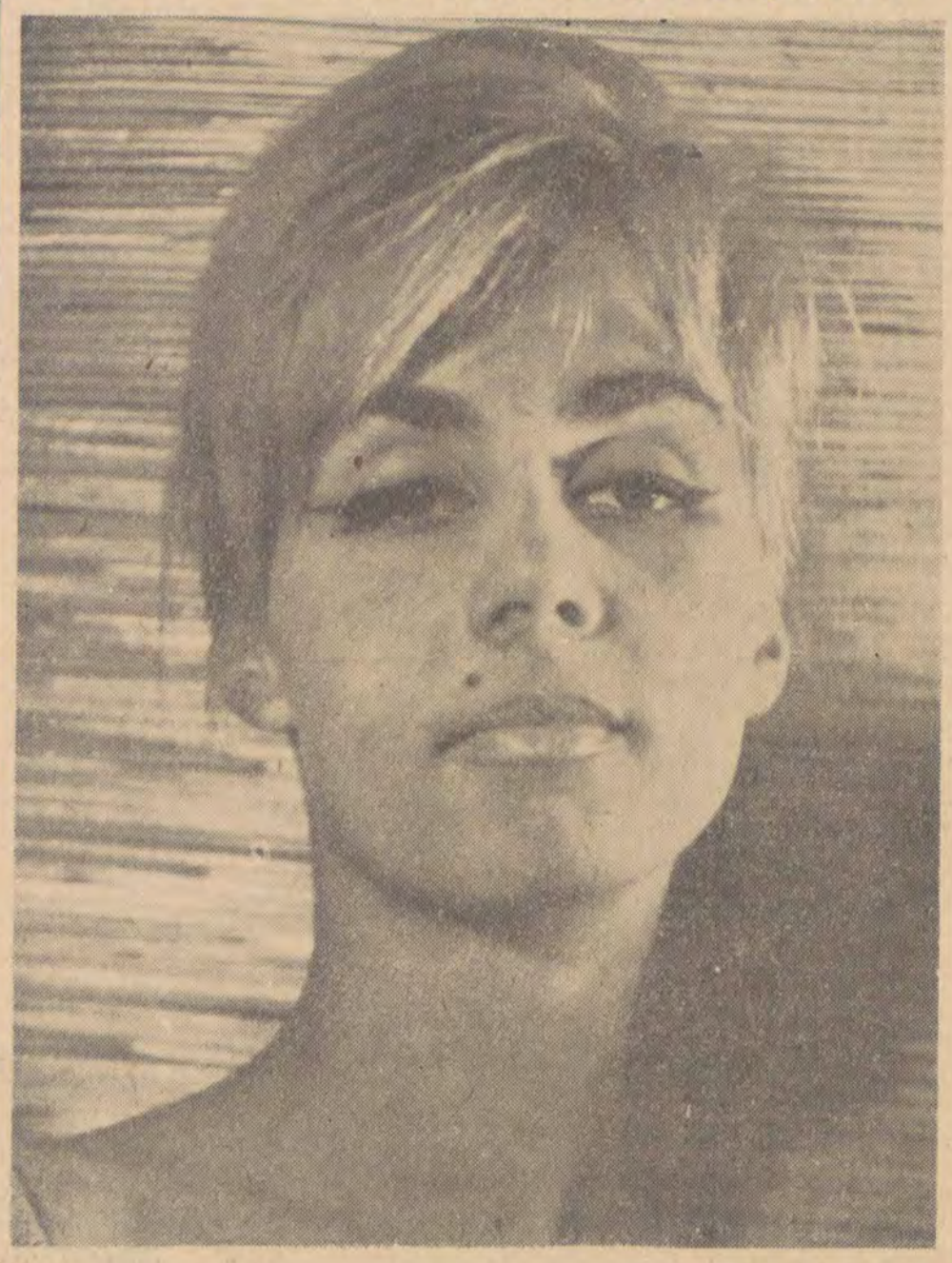

Fot: A. Kobyliński

ODGŁOSY tygodnia

Złoty Kask

Ostatnio odbyły się w Łodzi zawody motocyklowe o tzw. ZŁOTY KASK. Jedne gazety naszego miasta pisały, że oglądało je 30 tys. widzów, inne, że 50 tys. Darujmy im te 20 tysięcy miłośników sportu motorowego. Zastanawia nas bowiem co innego. Zawody zorganizowano w niedzielne przedpołudnie na tzw. autostradzie warszawskiej. Na parę godzin zamknięto więc dla ruchu publicznego jedną z ważniejszych arterii przelotowych Łodzi. Mniejsza i to. Wiadomo jednak, że w bliskim sąsiedztwie autostrady, na której ryczały motocykle wyścigowe (bez tłumików), znajduje się szpital dziecięcy na ul. Spornej. Na dobitek wzdłuż trasy wyścigu zainstalowano megafony, które informowały, organizowały motocyklistów do biegu itd. Wreszcie dla ukoronowania wszystkiego cały niedzielny ruch wycieczkowy, a więc dziesiątki samochodów i autokarów, setki motocykli kierowano do dróg wylotowych miasta, właśnie ulicą Sporną koło szpitala dziecięcego.

Gdyby za cenę tych poświęceń ZŁOTY KASK zdobył chociaż łodzianin! Gdzie tam! Włożył go G. Henek ze Śląska.

Kisch nie zadebiutował...

„...po raz pierwszy miałem być wypróbowany na placu boju. Schittkauerowskie młyny stały w płomieniach. Pobiegłem tam. Ogień zamieniał w ruiny i popiół cały kompleks młynów... I co było znacznie gorsze, inni reporterzy znajdowali się tam już i notowali gorliwie".

Tak było za czasów Kischa. Dziś — cóż...

W sobotę 23 września mieliśmy pod ręką — w Aleksandrowie, największy od 15 lat pożar, który strawił 25 milionów złotych. Musiało być malowniczo: płonął hangar, 10 samolotów sportowych, 10 szybowców, ogień dobierał się do magazynów z benzyną.

Przeczytaliśmy wprawdzie o tym na drugi dzień w łódzkiej prasie. Ale relacja była streszczeniem relacji walczących z ogniem. Reportera przy tym nie było, chociaż pożar wybuchł o pięknej dla dziennikarzy porze, bo o 11.45. Wystarczyło rzucić na odjezdne komukolwiek „zawiadomić prasę"... Niestety, nikomu to do głowy nie przyszło. A wśród reporterów jasnowidza brak... I trudno warować dniem i nocą we wszystkich miejscach, które potencjalnie mogą zapłonąć...

Kisch odbył debiut przy pożarze młynów. Napisał pasjonujące, choć nieprawdziwe od początku do końca sprawozdanie. „Właśnie dlatego, że w pierwszej pogoni za prawdą, prawda mi umknęła, chciałem ją odtąd śledzić". I śledził.

Z płomieni niejako wychynął jego talent po raz pierwszy...

W Łodzi Kisch miałby trudności z debiutem.

„Trzeźwi" — pijakom

„Trzeźwi" pijakom gotują siurpryzę. Od połowy października po łódzkich zakładach pracy ma krążyć wystawa antyalkoholowa, której mocny punkt stanowi 30 eksponatów w formalinie. Jakich?

Zamęczone alkoholem wątroby, zadławione wódką serca, niedonoszone płody, zahamowane w rozwoju embriony, zniszczone nerki i inne zniszczone pod wpływem kolejnych „setek" organy człowieka. Prócz tego — zdjęcia debilnych dzieci alkoholików, małe, tragiczne potworki — wyniki ludzkiej bezmyślności.

Wystawa oprawiona planszami, wzmocniona cyframi i rachunkami strat, jakie ponosi społeczeństwo z powodu alkoholizmu jego członków — ma być czynna przez tydzień najpierw w zakładach bawełnianych im. Szymańskiego, potem wełnianych im. Barlickiego, w Wytwórni Papierosów itd.

Nie wierzymy specjalnie głęboko w uzdrawiającą moc antyalkoholowej propagandy, z tej głównie przyczyny, iż ci najbardziej przepojeni wódą i tak z powodu zamroczenia, jej nie dostrzegają. Ale... dwa lata temu obserwowaliśmy miny oglądających, podobne do wyżej wymienionych, eksponaty. Byli przerażeni, fakt (na ekspozycję przywieziono ich wprost z Izby Wytrzeźwień). Propaganda wizualna nawet do nich przemówiła. Dlatego myślimy: pomysł z taką wystawą — dobry.

Bardziej sceptycznie nastraja chęć zorganizowania w zakładach grup aktywistów zwalczających nadmierne picie. „Bo w miejscu pracy najlepiej wiedzą kto i ile pije". Prawda, ale jak to zwalczanie będzie wyglądać w praktyce? Czy aktywista X przyjdzie do aktywnie pijącego Y-greka z okrzykiem: ',Felek, zostaw ćwiartkę, choć na mleko???"

W każdym razie życzymy Towarzystwu „Trzeźwość" pomyślnego trzeźwienia społeczeństwa.

Piosenki

W powszechnym narodowym psioczeniu na polską piosenkę niech zabrzmi ten pełen życzliwości głos. Krytycy, jak wiadomo, za ideał piosenki prawdziwie masowej uznają utwór prosty, łatwy do spopularyzowania. Te wymagania spełnia na pewno znany szlagier „Złoty pierścionek".

W kołach zbliżonych do pijalni piwa i restauracji „Słoń" śpiewa się ów szlagier w wersji następującej:

„Złoty pierścionek podpylił Bronek
Z wystawy.
Posiedzi sobie, teraz posiedzi
Do sprawy.
Złoty pierścionek podpylił Bronek
na wódkę.
Ale cóż robić gdy życie jest
Takie krótkie"

Z czego wynika niedwuznacznie, że długość życia obywateli ma kolosalny wpływ na wzrost przestępczości i wzrost spożycia napojów wyskokowych.

W sferach gorzej sytuowanych palaczy znana jest inna wersja tej piosenki:

„Złoty pięćdziesiąt, złoty pięćdziesiąt
Na Sporty.
Gdybym miał więcej, kupiłbym sobie
Giewonty."

Z powyższej zwrotki wynika wniosek jakoby „Giewonty" górowały nad papierosami o rzeźkiej nazwie „Sport" — co nie znajduje pokrycia w rzeczywistości, bowiem zarówno „Sporty" jak i „Giewonty" są diabła warte. Dalej tekst piosenki jest niestety mocno niecenzuralny.

Z niepokojem czekamy na nowe odkrywcze wersje nagrodzonego szlagieru „Dla ciebie miły" ze słynnym już passusem „ubawisz ty się dziś".

Oj, Wojenko, Wojenko

W pociągu na stacji kolejowej Sierakowice rozległ się brzęk tłuczonych szyb. Wystraszeni pasażerowie zaczęli chować głowy pod ławki. Co bardziej nerwowi podnieśli krzyk: katastrofa!

Tymczasem w pobliżu torów stał chwiejący się na nogach młodzieniec. Zanosił się od śmiechu. W ręku trzymał pokaźnych rozmiarów kamień. Już miał nim cisnąć, gdy zjawili się milicjanci.

— Jesteście chuliganem. Dowód osobisty. Jak nazwisko?

— Wojenko.

— ?

Nie skłamał. 20-letni chuligan nazywa się Kazimierz Wojenko. Taki już jest.

Walcoryt?

Czy wiecie, że istnieją w Łodzi: Fabryka Biegaczy, Obręczkowych, Wyścigi Konne, czy instytucja o dziwnej nazwie „Walcoryt"? Nieocenionym źródłem tego typu informacji jest poczciwa książka telefoniczna. Są podobno ludzie, którzy uwielbiają tę pasjonującą lekturę, chociaż twierdzą, że fabułę gmatwa zbyt duża liczba bohaterów.

My ze swej strony postanowiliśmy informować czytelników „Odgłosów tygodnia" co wiemy ciekawego o tych dziwnych a tajemniczych bohaterach książki telefonicznej.

Na początek „Walcoryt". Jak nazwa niedwuznacznie wskazuje 48 pracowników tej instytucji ma do czynienia zarówno z rycinami jak i z walcami. Ryją jak nie trudno zgadnąć na walcach. A z tego (uwaga, piękne panie!) już krok tylko do pięknych, wzorzystych tkanin.

Rytownia „Walcoryt" jest jedyną w Polsce firmą produkującą wały drukarskie dla przemysłu jedwabniczego. Zatem łódzkie walce drukują tkaniny również dla Lubania czy Kalisza. Z opracowywanych wzorów prawie 70 proc. idzie na eksport. To bardzo dużo zważywszy, że miesięcznie wykonuje się około 40 nowych projektów.

No i na koniec wiadomość dla pracowników „Walcorytu" nadar przyjemna. Niebawem instytucja przenosi się do nowej nowocześnie urządzonej rytowni przy ul. Deszczowej. Nie pozostaje zatem nic innego jak życzyć: przyjemnego rycia.

Z SĄDU

„Kwiatek" wśród róż

Była noc 28 lipca br. Dwuosobowy patrol MO przechadzał się po uśpionych ulicach miasta. W pewnym momencie wyrósł przed milicjantami przygarbiony człowiek, który niósł ogromną ilość róż. Dziwne — pomyśleli stróże porządku i wylegitymowali osobnika.

— A róże dla kogo?

— Władzuniu, żona się gniewa, gdy wracam późno. To dla niej na zgodę.

— Ale po co aż tyle?

— Ma się rozumieć za wszystkie lata....

Milicjanci coś przeczuwali. Grzecznego małżonka doprowadzili do komisariatu. Tam sprawa się wydała. Nigdzie nie pracujący 46-letni Konstanty Jóźwiak (zam. przy ulicy Kilińskiego 31) mający już za sobą dwa wyroki skazujące przyznał, że 438(!) róż wyciął nożem z ogrodu przy ul. Brzezińskiej. Następnego dnia chciał je sprzedać. Co znaczy mieć pecha. Ale zarobić, tak i tak „zarobi". W najbliższym czasie stanie przed Sądem Powiatowym dla m. Łodzi.

Łódzki paradoks „made in Warsaw"

Według informacji Wydziału Zatrudnienia Prez. Rady Narodowej m. Łodzi 220 zarejestrowanych kobiet czeka na pracę chałupniczą.

Jest to czekanie nadaremne, bo pracy tego typu, niewymagającej kwalifikacji zawodowych, jest wciąż w Łodzi za mało. Tymczasem świetnie prosperujący oddział chałupniczego szycia i reperacji worków, prowadzony przez łódzki oddział „Czuj-Czynu" ma być lada dzień zlikwidowany. Taką decyzję wydała centralna dyrekcja tej instytucji, mieszcząca się w Warszawie.

Mimo wielokrotnych monitów łódzkiego „Czuj-Czynu", mimo błagalnych petycji 50 zatrudnionych przy reperacji worków chałupniczek, którym grozi utrata pracy i zarobków, Warszawa trwa niewzruszenie na stanowisku, motywując swe likwidatorskie decyzje tym, iż działalność chałupnicza „Czuj-Czynu"... nie leży w profilu zadań instytucji.

Grunt, żeby profil był w porządku. Prawda PT Dyrekcjo z Warszawy?

Relaks dla żony

W jednym z łódzkich zakładów pracy ukazał się na tablicy anons następującej treści: „Mężu! Nie kwiatami ale Relaksem sprawisz żonie przyjemność".

Jak się okazało — autorką owej przekonywującej reklamy była jedna z tkaczek, która w ten sposób chciała podkreślić walory wypuszczonych niedawno przez ZPP im. Jurczaka pończoch leczniczych „Relaks", zapobiegających żylakom.

A swoją drogą — może by tak handel pomyślał o spopularyzowaniu „Relaksu" w jakiejś szerszej reklamie. Dla włókniarek i w ogóle kobiet pracujących przez 8 godzin w pozycji stojącej pończochy przeciwżylakowe, to naprawdę rzecz niebagatelna.

Dyrektorska karuzela

„W przedsiębiorstwie MHD-Odzież — od chwili jego powstania, tj. od 1953 r. zmieniło się już czterech dyrektorów i dwóch księgowych. W MHD-Obuwie w tym samym czasie — trzech dyrektorów naczelnych, dwóch zastępców (obecnie brak) i dwóch głównych księgowych. W MHD-Włókno w ciągu 8 lat odeszło dwóch dyrektorów, trzech zastępców i trzech księgowych. W MHD-AUK od 1953 roku — trzech dyrektorów, 3 zastępców i trzech głównych księgowych, łącznie więc dziewięciu członków kierownictwa. MHD-APR — czterech dyrektorów i dwóch głównych księgowych (etatu zastępcy w przedsiębiorstwie brak). W przedsiębiorstwie Remontowo-Budowlanym Handlu Wewnętrznego, które powstało w 1956 roku, w ciągu 5 lat zmieniło się trzech dyrektorów, trzech zastępców do spraw technicznych i trzech głównych księgowych..."

Ów rewelacyjny stan na liczniku dyrektorskiej karuzeli podała w końcu sezonu ogórkowego (w numerze z dnia 22 sierpnia br.) nie znana na naszej szerszej publiczności „Gazeta Handlowa". Tygodnik łódzki przepisuje ów stan dotyczący, niestety, Łodzi po to, żeby nie był on wraz z sezonem ogórkowym zapomniany.

Eppur si muove!

Dwutygodnik „Teatr" (nr 17) w stałym swoim dziale „Prasa i książki" zamieścił omówienie naszej letniej dyskusji o repertuarze. Zainteresowani pamiętają, iż owa letnia dyskusja była bardzo gorąca, a do temperatury września doszło, niestety, nie na łamach „Odgłosów", lecz w kuluarach i gabinetach. Poniektórych opinentów, mających odwagę wypowiedzieć drukiem własne zdanie i redakcję, która udzieliła im łamów w dobrej sprawie mącenia zgubnego błogostanu, odsądzono w owych kuluarach i gabinetach od czci i wiary. Poniektórzy wielcy teatru do dziś jeszcze czują się obrażeni. Zwłaszcza im wypada więc polecić rzetelną relację głównych tez naszej dyskusji w ich profesjonalnym czasopiśmie. „Teatr" referuje nas bez zastrzeżeń i komentarzy, traktując wszystkie głosy jako dobrą monetę. Odnotowujemy to z nie małą satysfakcją. Tym większą, że obrażeni zwykli bardziej cenić argument autorytetu niż autorytet argumentu. Co do odsądzonych od czci i wiary, to za Galileuszem mogę wykrzyknąć „Eppur si muove!"